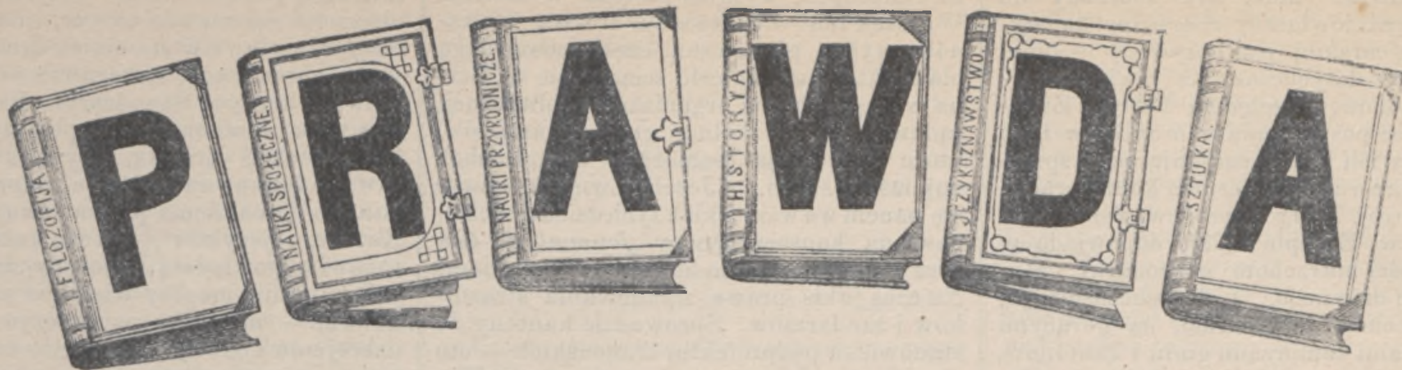
Nr. 7. Warszawa, dnia 13 (1) Lutego 1892 r. **Rok XII.**



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2**. k. **50**, rocznie rs. **10**

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

ODKRYCIA.

„Nowemu kursowi“ w Niemczech trzeba przyznać tę zasługę, że przez zwolnienie surowości w pewnych kierunkach pozwolił wydobyć się na wierzch skrytym nadużyciom, które w długiem tajeniu i gnębieniu szerzyły niedostrzegalne gnicie śród narodu. Świeżo znowu ujawnił się taki wrzód wewnętrzny dzięki ogłoszeniu rozporządzenia ks. Jerzego saskiego, dowódcy korpusu do swoich podwładnych. Jakim sposobem ten poufny okólnik dostał się naprzód do kolumn pisma socyalistycznego *Vorwärts*, badać nie będziemy i to nas nie obchodzi. Główną tu bowiem rzeczą nie jest zdrada tajemnicy, lecz treść dokumentu. Już cesarz Wilhelm wkrótce po wstąpieniu na tron upomniał oficerów, ażeby czuwali nad ludzkiem obchodzeniem się z rekrutami i żołnierzami podczas ćwiczeń wojskowych, zakazując wszelkiego pastwienia się. Była to wszakże apostrofa ogólnikowa, niepoparta jaskrawymi faktami. Dopiero ks. Jerzy saski z akt sądowych i przeprowadzonych śledztw zebrał taką wiązankę okrucieństw, jakich nikt by nie przypuszczał w państwie cywilizowanem. Oto kilka z wielu wypadków:

Podoficer Zwahr, rano i wieczorem leżąc w łóżku, kazał rezerwistom wykonywać ćwiczenia z karabinem aż do 500 razy, a jednego z nich zmusił do poruszania stołkiem dopóty, póki nie spadł zeń garnek z gorącą kawą i nie poparzył mu rąk.

Obergefreiter Hoffmann wymierzał prawie codziennie kanonierowi Dobertowi 100—150 razów butem lub rękojeścią pałasza. Jednego dnia żołnierz, otrzymawszy 1889 głośno policzonych takich uderzeń, zemdlał.

Podoficer Zehme kazał w styczniu 1890 r. żołnierzom wstać w nocy i przez pół godziny w koszulach maszerować, rekrutom zaś biegać z zapalonemi cygarami w ustach, dopóki nie przeliczył do 50; w ciągu tego czasu cygara powinny być wypalone. Pewnego wieczoru kazał znowu rekrutom 1800 razy zgiąć kolana, trzymając w rękach stołki.

Podoficer Lohel tak silnie uderzył karabinem przy ćwiczeniach żołnierza Neuberta, że złamał mu obojczyk.

Szczególnem okrucieństwem odznaczał się sierżant Pflug. Nietylko kazał policzkować rekrutów, bić ich kijami, pałaszami, osobną trzepaczką, ale np. włazić na szafy bez zgięcia kolan, żuć brudne skarpetki przez 4—5 minut itp. Zbyt wytłuszczone buty wycierał im o twarze. Jeżeli który z rekrutów podczas marszu źle zginał kolana, sierżant kładł go na dwu rozstawionych stołkach i siadał na wyciągniętych nogach, które prawie łamał. Krzyczącym zatykał usta i bił po twarzy.

Podoficer Geilsdorf kazał w izbie żołnierskiej rekrutom zginać po kilkaset razy kolana, doprowadzając ich do takiego zmęczenia, że podłoga była mokra od potu.

Są to tylko przykłady męczeństw, niewyczerpujące całej listy, spisanej przez ks. Jerzego. Niektóre z nich nie dadzą się nawet najdelikatniej opisać, tak są ohydne. Znęcanie się nad ofiarami tego dzikiego tresunku dochodziło nieraz do najpotworniejszych rozmiarów tyrańskiej pomysłowości.

Wszystkie te nadużycia ujawnione ukarano surowo (degradacyą i 2—5 latami więzienia), ale ileż pozostało nieujawnionych! Dręczeni bowiem, nawet mając drogę otwartą do skargi, unikali jej z obawy zemsty. Drobne zadośćuczynienie, jakie otrzymywali, nie zabezpieczało ich wcale od późniejszych jeszcze sroższych okrucieństw, gdyż pozostawali nadal w ręku tych samych oprawców. Nadto—jak stwierdza w swym okólniku ks. Jerzy — najbliżsi zwierzchnicy podoficerów i gefreiterów (porucznicy, kapitanowie itd.) nietylko pobłażali im, ale poniekąd zachęcali ich do nadużyć, broniąc przed wyższą władzą. Skutkiem tego żołnierze, a zwłaszcza rekruci pozostawali bezwzględnie na łasce i niełasce rozjuszonych prostaków, nikt się nad nimi nie ulitował, nikt winnych za ich krzywdy nie karał.

Musiały te tortury nagromadzić masę dowodów oskarżających, skoro wywołały tak energiczne przeciwdziałanie z góry. Być może, że złe szerzyłoby się dalej pod przykryciem milczenia, gdyby nie zauważono jednocześnie, że ono staje się gruntem bardzo przyjaznym dla groźnych posiewów. Gdyby pod budową państwową zachwiała się tak potężna podwalina, jak armia, na czem by gmach się wspierał? Skoro zaś ogłoszono te odkrycia milionami egzemplarzy gazet, skoro odezwał się krzyk oburzonej opinii publicznej, trzeba było sięgnąć do korzeni złego. A te korzenie sięgają widocznie daleko. Stała się bowiem rzecz dziwna. Chociaż ks. Jerzy podniósł kwestyę tylko w zakresie jednego korpusu saskiego, zabrano się do reformy i zażądano zmian w procedurze i przepisach sądów wojskowych dla całej armii niemieckiej, ale zaczęto badać tę samą sprawę w... Austryi. W tym fakcie ze smutkiem splata się humor. Ktoś leci po trutkę, bo sąsiad wykrył w swoim domu szczury. Gdyby ks. Jerzy saski nie dostrzegł w swoim korpusie znęcania się nad żołnierzami, generałowie austryaccy nie wiedzieliby, że mają u siebie podobne zdrożności. Czy to nie zabawne? W interesie wszakże ofiar przebaczmy aktorom tej krotochwili bezwiedny humor. Bo zapewnie i nad błękitnym Dunajem rekruci nieraz żują skarpetki lub latają po mrozie w koszulach z zapalonemi cygarami. Niechże więc i im odjęta będzie taka lub inna katusza.

RADYKALIZM SZWAJCARSKI I UNIFIKACYA PRAWA.

Radykalizm szwajcarski dotychczas hołduje poniekąd tradycyom „kulturkampfu,“ ale ponieważ z drugiej strony ultramontanie oddawna wyrzekli się ideału „państwa w państwie,“ więc odwieczna walka między centralistami a federalistami, zaostrzając się z biegiem czasu, musiała nabrać nowej treści. Obecnie walka ta ma już charakter nie wyznaniowej, lecz czysto ekonomicznej. Wprawdzie zmiany konstytucyjne z lat 1848 i 1874 do pewnego stopnia zaspokoiły centralistyczne dążności radykalistów szwajcarskich, ale były to tylko pierwsze ciosy, zadane gmachowi średniowie-

cznemu, który pod wpływem rozwijającego się kapitalizmu musi być zburzony do szczętu. Średniowieczny charakter konstytucyi szwajcarskiej jest oczywisty — opiera się ona dotychczas na zwierzchnictwie kantonów, względem którego Związek ma moc postawienia *veto* tylko w tych razach, gdy ich prawa znajdują się w sprzeczności z prawem publicznem konfederacyi. Jest to ustrój, który za czasów feodalizmu panował w Europie całej, odpowiadając w zupełności potrzebom gospodarki naturalnej. Nic dziwnego, iż dotychczasowi jej przedstawiciele, demokraci, są gorącymi zwolennikami samorządu gmin i kantonów, gdy natomiast radykaliści, których właściwiej możnaby nazwać liberałami — a i oni sami często mianują się „radicaux-liberaux“ — wysunięci przez wzbierające fale wielkiego przemysłu, dobijają się ustroju, który byłby wzorowany na okazach z Europy zachodniej, głównie Francyi.

Wprawdzie demokraci, opierając się na „duchu narodowym,“ który ma wrzekomo wymagać dla Szwajcaryi ustroju federalnego, powołują się na pamięć Rzeczpospolitej helweckiej, ustanowionej w końcu przeszłego stulecia przez francuzów na zasadach ścisłego centralizmu, i na krótki, marny jej żywot. Radykalistów wszakże zarzut ten bynajmniej nie przekonywa: przed stu laty Szwajcarya była państwem średniowiecznem, dla którego współczesny ustrój nowożytny był zupełnie nieodpowiedni, obecnie zaś weszła już ostatecznie w rodzinę państw kapitalistycznych i musi się zatem do ich wymagań politycznych zastosować. Najwybitniejszy organ partyi — *Bermer Zeitung* — pisze w tej kwestyi: „Nowe obowiązki, spadające wciąż na państwo, wymagają nowej organizacyi, któraby mu pozwalała należycie się z nich wywiązywać. Jeżeli Związek ma wypełniać prawowite swe zadania, trzeba, aby kantony zeszły na plan drugi, a zarazem władza centralna została wzmocniona. Trzeba, żeby Związek miał prawo narzucania swej woli kantonom, które mają być posłuszne, a nie wciągać go w zatargi bez końca. *W tym celu domagamy się całkowitej rewizyi konstytucyi.*“ Na czem rewizya ta ma polegać, radykaliści wypowiadali się już nieraz. Z powodu wypadków przeszłorocznych w Tessino, postawili oni w Izbach wniosek, iż kantony nie są w stanie urządzać prawidłowo i zadawalająco swej organizacyi politycznej, trzeba tedy obdarować Związek prawem nadawania im statutów elektoralnych, wypracowanych w Bernie. Wniosek ten — odrzucony zresztą — stanowi tylko nieznaczną część obszernego planu, który ma na celu ściągnięcie do Berna wszystkich nici organizacyi politycznej, sądowniczej i szkolnej gmin i kantonów, które zachowują samorząd w granicach najciaśniejszych. „Jeżeli Związek stanie się panem we wszystkich tych dziedzinach— powiada konserwatywny *Journal de Gèneve* — co pozostanie kantonom i gminom? Na czas jakiś prawo mianowania strażników i żandarmów. Sprowadzić kantony do stanowiska podprefektur francuskich — oto nieukryty cel naszych centralistów.“ Rozumie się, tak gruntowne reformy nie mogą być przeprowadzone naraz i jednym zamachem: dużo jeszcze czasu upłynie, zanim one wszystkie w czyn się wcielą. Ale jest jedna, która już obecnie stanowi w Szwajcaryi kwestyę dnia, szeroko rozbieraną, a po części nawet załatwioną, mianowicie unifikacya prawa. Prąd nieprzeparty porywa całe społeczeństwo w tym kierunku. Już w poprzednim okresie prawodawczym przyjęto statut ogólno-państwowy o prześladowaniu dłużników i bankrutów, nietylko w Izbach, ale i drogą *referendum*, którego federaliści, zazdrosni o swą niezależność, zażądali. To zwycięztwo, odniesione w warunkach niedogodnych, pokazało, jak dalece konieczność zjednoczenia prawodawstwa już dojrzała. Umysły gorączkowo skierowały się w tę stronę, skutkiem czego deputowanemu Farrer udało się przeprowadzić wniosek, polecający profesorowi Stoos w Bernie prace przygotowawcze nad prawem karnem, a prof. Heusslerowi w Bazylei nad rodzinnem (droit de famille). Ale w jaki sposób wykonać to zjednoczenie prawodawstwa, oto kwestya dotychczas nierozstrzygnięta. Zdania są rozstrzelone, poczynając od radykalistów, którzyby chcieli nadać reformie charakter czysto centralistyczny i kończąc na skrajnych demokratach, którzy o żadnem ustępstwie słyszeć nie chcą. Stanowisko pośrednie objął G. Fazy, w książce, która zwróciła powszechną uwagę *). Pod względem poglądów na prawo pisane i zwyczajowe autor stoi na stanowisku Savignego i szkoły historycznej. Sądzi on, iż nie można „robić“ prawa i że rozwija się ono samo z biegiem czasu. Dlatego wszelka kodyfikacya jest dlań tamą postawioną na drodze postępu. Z drugiej jednak strony przyznaje on konieczność zniszczenia baryer, które rozmaitość prawodawstw stawia na drodze rozwoju ekonomicznego, szczególnie — na drodze rozwoju kredytu Szwajcaryi. Kodyfikacya jest więc potrzebna. Jak połączyć te dwie konieczności? Zresztą, aby prawo mogło być skodyfikowane, trzeba naprzód, żeby istniało. Otóż niema prawa szwajcarskiego. Każdemu językowi, prawie każdemu kantonowi odpowiadają inne pojęcia. Kodeks federalny nie mógłby więc być prawem ludowem — musiałby wyskoczyć w całem uzbrojeniu z głowy kilku Solonów. Czyż z tego wypada, iż trzeba się wyrzec panowania ustaw obecnych, których wpływ nie wybiega zwykle po za obręb kilku kilometrów kwadratowych? Nie. Fazy, będąc wrogiem centralizacyi prawa — dokonanej przez Bern i tylko przez Bern — jest zwolennikiem jego „unifikacyi.“ Autor rozumie pod tym wyrazem wytworzenie wolne i niezależne prawa narodowego, któreby wyszło z łona ludu i było otrzymane przez współudział wszystkich jego części: Związku, kantonów, towarzystw prawniczych, uniwersytetów itd. W ten sposób kantony będą mogły, zachowując samorząd prawodawczy, położyć w podstawie swych praw pewną ilość zasad wspólnych. Władze federalne powinny wypracowywać projekty ustaw, któreby kantony mogły następnie dowolnie przyjmować. Rady Wielkie kantonów powinny ze swej strony śledzić za pracami fakultetów i towarzystw prawnych, popieranych przez Związek, a także za postępem innych kantonów, aby się do nich zastosować. W ten sposób można byłoby obdarować Szwajcaryę prawodawstwem jednorodnem, a nie scentralizowanem, czysto narodowem, które nie będzie tylko kopią tego lub owego kodeksu narodów sąsiednich. Z drugiej strony Fazy zgadza się, iż Związek powinienby wypisać na czele swej konstytucyi deklaracyę praw osobniczych, która obejmowałaby nietylko polityczne, ale też zasadnicze cywilne i społeczne, zakładając w ten sposób z góry pewne podstawy ogólne, do których ustawodawstwa kantonalne musiałyby się zastosowywać i których by trybunał federalny przestrzegał. Ale reformy tego rodzaju wymagają wzmocnienia władzy centralnej, z czem Fazy także się zgadza.

Wychodząc ze względów czysto filozoficznych, sądzi on, iż Związek powinien posia-

*) *Le centralisation et l'unification du droit en Suisse.*

---

1)

Andrzej Niemojewski.

MAJÓWKA.

I.

Pierzchajcie smutki z mojego czoła,
Z kopuły mojego ducha,
Gdzie jak, wron stada, kracząc dokoła
Latacie — świat was nie słucha!

W mgle romantycznej zagasły żale
Niby spłowiałe jutrzenki,
A rozhukane historyi fale
Stłumiły ostatnie dźwięki.

Na inną nutę wiek pieśń nastraja,
Naciąga żelazne struny,
Śmieje się z kwileń słowiczych maja,
Inne chce słuchać zwiastuny.

Świat nie ma czasu, świat naprzód leci,
Rwie go huragan bojowy,
Syn dziewiętnastu krwawych stulleci
Na krwawe ulata łowy!

O tak, na łowy jak junak młody
Wylata z płomieniem w oku,
Za naganiaczy sprosił narody,
Sam na żelaznym grzmi smoku.

Tam za nim litość rozdziera szaty,
On leci zdobywać wieczność,
W ręku miast jabłka kula armaty,
Nad czołem sztandar — konieczność!

W knici ludzkości wrą łowy nocą,
Huczą zwycięzkie wystrzały,
A rozsypane gwiazdy migocą
Jak złote półimperyały.

I obławnicy na te gwiazdeczki
Patrzą jak ongi poeci,
Czy deszcz tych gwiazdek z lazurów beczki
Im do kieszeni nie zleci!..

Pierzchajcie smutki z mojego czoła,
Z kopuły mojego ducha,
Gdzie jako burze gromiąc, dokoła
Krążycie — świat was nie słucha!

Świat dziś urąga burzy patosu
I koturnowej idei,
Cierpliwie słuchał proroków głosu
Przez tyle wieków z kolei!

Niech Prometeusz grom rzuca z dłoni,
W dół pełza ze swoich wzgórzy,
Wężową łuską ślad skrzydeł słoni,
W syk żądła zmienia głos burzy.

Niech Ikar dzwonki u czapki wiesza,
W cyrkowe podąża wrota,
Publiczność klaska, szaleje rzesza,
Nam trzeba śmiechu i złota!..

Pierzchajcie smutki z mego Parnasu,
Gdzie w noc przy szklance herbaty
Muza namiętna śpiewa hymn czasu
Jakiejś epoki skrzydlatej!

Za inną muzą oczy w dół biegą,
Tam nizko z mgieł rannych wstawa
Echo mych myśli, łza duha mego,
Pierwsze kochanie... Warszawa!

Ta nimfa bruków lekka i płocha,
Co zalotników tłum nęci,
W której sam autor zdawna się kocha,
Jak szkolny żak bez pamięci!..

Lecz ona tak, jak wszystkie kobiety,
W kamieniach swojego łona
Wielkiego serca nie ma, niestety,
Lecz drobnych serc pół miliona...

Dziwna to postać!.. Nad czoła wieżą
Powiewa dymu woalka,
Szpilki kominów w włosach się jeżą,
Stroi się przytem jak lalka.

Pierś wiecznie pławi w życiu wesołem
Śród dźwięków, świateł i kwiecia,
Lecz suknię mocno podkasa dołem,
Gdzie błoto nędzy stulecia...

Bezczynne ramię tonie w puch biały
Śród wrażeń rozkosznej burzy,
Nogi, co kadłub dźwigają cały,
Te boso brną śród kałuży...

I jak syrena, wabiąc spojrzeniem,
W odmęt się z tobą zanurza,
Zakrywszy jednak dyskretnym cieniem
Swoje potworne odnóża...

dać bezstronną władzę gwarantowania w każdym z kantonów zwierzchnictwa ludu, a zarazem praw jednostek. Ale z tego punktu niepodobna praktycznie określić granic kompetencyi władzy federalnej. Trudność w tem polega, iż oprócz powyższej rękojmi siła rzeczy zmusza do ustąpienia Związkowi kierownictwa pewnych interesów wspólnych, dla których on jest bardziej uzdolniony, niż oddzielne kantony. Określenie tych wspólnych interesów stanowi właśnie punkt najdelikatniejszy. Zaczyna się od poczt i telegrafów, a kończy na monopolu kolejowym, na fabrykacі i sprzedaży alkoholu. Chodzi o to, iż żadna filozofia nie zdoła węzła tego rozwiązać — jedynym miernikiem jest tu rozwój ekonomiczny. Dopóki gospodarka będzie drobna, kantony zachowają niezależność w mniejszym lub większym stopniu. W miarę rozwoju kapitalizmu autonomia ta coraz bardziej zwężać się będzie. A gdy Szwajcarya dojdzie do takiego rozwoju przemysłowego, jaki widzimy we Francyi, centralizacya polityczna zapanuje w niej nieograniczenie.

Jaki charakter reforma przybierze faktycznie, to oczywiście zależeć będzie od układu sił politycznych, od tego, o ile rozmaite odłamy partyi liberalnej i radykalnej zdołają się pogodzić. Oprócz interesów materyalnych łączy ich jeszcze i wspólna nienawiść ku klerykalizmowi. Niejeden liberał, nazywający się federalistą, bez wahania głosować będzie za prawami najniebezpieczniejszemi dla zwierzchnictwa kantonalnego wobec widma ultramontanizmu. Radykaliści coraz bardziej pochłaniają partyę liberalną, z drugiej jednak strony można w łonie ich zauważyć ciekawy proces rozkładu. Występując zawsze, jako zwolennicy reform społecznych, opierali się dotychczas na klasie robotniczej: w związkach Grütli mieli wciąż zapewnioną większość. Robotnicy pozwalali się prowadzić na pasku, odkładając chwilę samodzielnego wystąpienia na scenę. Głosowali wciąż na kandydatów radykalnych i w taki to sposób się stało, iż dotychczas nie mają oddzielnych przedstawicieli w parlamencie. Ale oto powoli robotnicy zrzucają jarzmo radykalne i probują sił własnych. Przy ostatnich wyborach w wielu bardzo miejscowościach wystawiono kandydatów społeczno-demokratycznych. Proces ten na pewno coraz bardziej zaostrzać się będzie. Wytworzenie jednak tego nowego stronnictwa z pewnością nie stanie na przeszkodzie ani centralizacyi politycznej, ani unifikacyi prawnej. Przeciwnie, robotnicy szwajcarscy stawiają te żądania na pierwszym planie swego programu.

Eipon.

Z AUSTRYI.

Nowa faza ugody czesko-niemieckiej. — Z obrad parlamentu: reforma studyów prawniczych i podatek giełdowy. — Wybory do parlamentu w Węgrzech.

Upiór ugody czesko-niemieckiej ciągle jeszcze pojawia się na widnokręgu wewnętrznej polityki austryackiej. Układy stanęły na żądaniu feodałów czeskich, aby odłożyć odgraniczenie językowe okręgów na czas nieokreślony. Hr. Taaffe, pragnąc okazać dobrą wolę i trwanie przy zamiarze urzeczywistnienia układu, zaprosił do Wiednia dr. Schmeykala, wodza niemców czeskich na naradę. Zgóry przewidzieć można, że narada ta pozostanie bez istotnego wyniku, gdyż ani niemcy od żądania swego odstąpić nie zechcą, ani feudałowie na nie się nie zgodzą. Rzecz ciekawa, ze wymaganie językowego odgraniczenia okręgów jest niejako miarą sił każdoczesnych obu stronnictw walczących. W r. 1871 podczas obrad nad ustawą narodowościową, wystąpili z tem żądaniem sami czesi, upatrując w tym środku administracyjnym rękojmię praw swego języka tam, gdzie on przeważa; w r. 1890, na konferencyi wiedeńskiej oświadczyły się za przeprowadzeniem tej ustawy stronnictwa; dziś zaś, kiedy czesi wzięli górę, nie chcą niemcom przyznać tego, co niegdyś jako dobrodziejstwo sami proponowali dla siebie.

Na porządku dziennym parlamentu austryackiego stanęły w ostatnim tygodniu dwie sprawy donioślejsze: reforma studyów prawniczych i podatek giełdowy. Co do pierwszej, spierano się głównie o to, czy należy jak dotychczas kłaść nacisk na naukę prawa rzymskiego. Deputowany Gross wystąpił z krytyką tego prawa jako antispołecznego i anti-narodowego; polecał natomiast gruntowniejszą znajomość niemieckiego. Większość mówców sprzeciwiała się wywodom Grossa, a po stronie ich stanęła decydująca w tej sprawie osobistość, minister Gautsch, który oświadczył, że prawno-historyczna podstawa studyów prawnych nie ulegnie reformie.

Rozprawę o podatku giełdowym podjął dr. Biliński, jako referent i autor przedstawionego Izbie projektu. Po raz ostatni zajmuje on krzesło referenta przed wystąpieniem z parlamentu. Ustawa o podatku giełdowym nie we wszystkiem spełnia nadzieje, jakie przywiązywano do niej. Budżet państwowy nie zyskuje sum tak znacznych, jakie zapowiadali wnioskodawcy. Podatek odnosi się głównie do obrotu ruchomego, którego szybkość utrudnia wielce kontrolę.

W Węgrzech odbyły się wybory do parlamentu w formach odpowiadających temperamentowi narodowemu i metodzie stronnictwa opozycyjnego. Żandarmów, pragnących utrzymać porządek, kaleczono, za co ci mścili się zabójczemi strzałami; księża podburzali lud, za co członkowie drugiego stronnictwa obrzucili ich polanami. Straty, które poniosło stronnictwo liberalne, są pokaźne dziś już, zanim ruch wyborczy się skończył. Piętnaście mandatów przeszło w ręce jego przeciwników; śród kandydatów rządowych, którzy przepadli, widzimy ludzi tak wybitnych, jak Aleksandra Matlekowicha, Stefana Tiszę, Maksa Falka i sędziwego Ludwika Csernatonego, który był członkiem parlamentu węgierskiego od r. 1867. Reprezentują oni znaczną sumę talentów, wiedzy i doświadczenia, a szereg świeżo wybranych magnatów zastąpić ich nie zdoła. Straty liberałów będą przeważnie jakościowe; ilościowo stanowią oni zawsze jeszcze większość.

S-z.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Starzy parlamentarzyści niemieccy, którzy już widzieli i przebyli wiele burz wewnętrznych, twierdzą, że nie pamiętają takiej, jaka się zerwała obecnie przeciw projektowi reformy szkolnej. Już nie setkami, ale tysiącami nadpływają ze wszech stron protesty do sejmu i posłów, wyrażające zgrozę i zachęcające do oporu. Już dziś nie ulega wątpliwości, że ani kanclerz Caprivi, ani minister oświaty Zedlitz, ani tem bardziej cesarz nie spodziewał się takiego rozjątrzenia umysłów, które bronią szkoły jako instytucyi państwowej i nie chcą jej wydać na łup duchowieństwu. Wilhelm II nie kryje swoj troski i rad by koniecznie burzę zażegnać. Za kulisami parlamentu toczą się ciągle układy o nadanie projekto-

---

W jej główce próżno uczonych kilku
 Biblioteki zakłada,
Trudno naukę szczepić w motylku,
 No, lecz za sztuką przepada!

Jeśli w tem brak jej atyckiej soli,
 To dość ma swojskiego chrzanu —
Muzyka przytem kwitnie dowoli,
 A zwłaszcza dział fortepianu...

Kocham ją za to! Wyznam tajemnie,
 Że li pod wpływem muzyki
Dzielnej Warszawy budzi się we mnie
 Drzemiący duch polityki:

Ach, gdy warszawskie słyszę klekoty,
 Słyszę francuski parlament,
Gdzie drze „prawica“ z „lewicą“ koty
 I cały świat wprawia w zamęt!..

Pierzchajcie smutki!.. Świt się płomieni,
 Dzień wstaje z orgią swych szumów,
Trzeba mi słońca, trzeba przestrzeni,
 Trzeba mi świata i tłumów!

Ha, lećmy, lećmy! Śród ludzkich kwiatów
 Człek może nowość zobaczy,
Wrzeszczą poeci, że brak tematów
 Dla „czułej“ duszy śpiewaczej!

Wdal! na majówkę! Nim wiek porywy
 Pod dumną skronią wyziębi,
Z świata teoryi dalej w świat żywy
 Odleć mój duchu jastrzębi!

Tam szerzej dzielne skrzydła roztoczy
 Twa myśl, twe serce krwawiące —
I ty się wzbijasz i śród przezroczy
 Jak pożar wzbija się słońce!..

II.

Był ranek cudny. Właśnie nad Pragą
 Słońce z mgły obsłon wybłysło,
Szybując w błękit piersią swą nagą,
 Kiedy stanąłem nad Wisłą.

Z piersi słonecznej płynęły blaski,
 Jak żar stopionych metali
Na zieleń parków, na Wisły piaski
 I na rozbity pył fali.

W górze Warszawa cicho szumiała,
 Poranne gamy turkotu,
Ku niej strzeliła pierś słońca biała
 Z za mgły jak płótna namiotu.

Jak mąż tak słońce szło do Warszawy,
 Warszawa lekko się płoni,
W źrenicach okien brzask świta krwawy,
 Mąż na „dzień dobry“ szedł do niej!..

Lubię tę scenę! Lubię Warszawę
 Oglądać w roli kochanki
I słońce, gdy ją wita w dni mgławe,
 Natura ma swe sielanki!

Patrząc dokoła mnie się wydało,
 Że wiosna-garderobiana:
Dla tych kochanków wzdłuż przystań całą
 Zdobi zielenią od rana.

Maj-kamerdyner w kwiecistym fraku
 Świat-salon dla nich przystraja —
O czem tyś wreszcie nie śnił, śpiewaku,
 Nad Wisłą w cudny dzień maja!..

Dołem berlinki ćmią się u brzegu,
 Na masztach bandery płoną,
Niby husaryę w zbitym szeregu
 Tak je tam w rząd ustawiono.

Jak pułkownicy parowce kołem
 Wzlatują sprawując szyki,
Widny pióropusz dymu nad czołem,
 W noc drżą tam iskry-kamyki.

Kręcą się łódki jak adjutanci,
 Na pokład zdąża kapela,
Marsza pejsaci tną muzykanci,
 Wpadam w konwulsye wesela!

Nurty w słonecznym blasku migocą,
 Chciałbym ich szlakiem w dal płynąć,
Nie pytam na czem, dokąd i poco,
 Byle myśl-żagiel rozwinąć!

Tęsknota ze mnie wyciąga ręce
 W dal barwną, wzdłuż żółtej rzeki,
Twarz mi gorące palą rumieńce,
 Na pokład mknę niedaleki.

Dokąd ruszamy? — Do Płocka, panie! —
 Zgoda! — Parowiec jak jeleń
Przebiera kołmi, słyszę pluskanie,
 Po brzegach miga drzew zieleń.

Nad nami mostem pociąg z łoskotem
 Jak smok powietrzny przelata,
Warszawa niknie, toń pryska złotem,
 Uczułem całunek lata!..

wi takiej formy, którąby narodowo-liberałom i wolno-zachowawcom pozwoliła go przyjąć. Ale rdzeń jego jest tak nawskróś klerykalny, że wszelkie poprawki nie zmienią istoty rzeczy. To też nie milknie pogłoska, że rząd przerażony złem wrażeniem swej ustawy, porzuci ją zupełnie. Podobno król dał się zjednać dla niej nadzieją, że ona będzie najskuteczniejszym środkiem przeciw socyalnej demokracyi, teraz jednak wytłomaczono mu, że jest to środek co najmniej zawodny.

Tymczasem zaczynają się pierwsze umizgi w kierunku nowych kredytów wojskowych, które przyznać ma centrum za cenę szkoły. Zapowiedziano już w komisyi parlamentu niemieckiego, że rząd będzie wymagał powiększenia składu osobistego marynarki wobec rozwoju jej w innnych państwach.

Według depeszy środowej, niemiecko-pruska pożyczka pokryta została zapisami trzykrotnie. Te wieści jednak przyjmować trzeba zawsze z wielką ostrożnością, gdyż bywają one nie tyle wyrazem rzeczywistości, ile chęci urządzania naganki.

Ponieważ hr. Taaffe, pogodziwszy się z lewicą, nie chciał wziąć do ministeryum jej przywódcy, Plenera, jako osobistości „zbyt znakomitej, której należałoby się tylko pierwsze miejsce w gabinecie,“ chciano więc tego luminarza wynagrodzić w inny sposób i ofiarowano mu dobrze płatne miejsce prezesa Izby obrachunkowej. Krótko mówiąc, byłaby to prosta łapówka, która nadto sprowadziłaby go ze sceny politycznej. Plener majątku własnego nie posiada i żyje z emerytury swojego ojca, po śmierci którego zostanie bez utrzymania. Była to więc pokusa bardzo silna. Namyślał się też nad nią bohater dość długo, ale gdy czciciele zaczęli sarkać na te wahania — odmówił. Stąd wybuch uniesień, artykuły pełne zachwytów, korowodów z pochodniami itd. I za co — pyta słusznie jedna z gazet niemieckich — Plener odbiera te hołdy? Za to, że po pewnej walce z sobą nie dał się przekupić. Jakże nizko spadła moralność polityczna w Austryi, kiedy takie skromne cnoty należą do wyjątkowych i są przedmiotem uwielbień!

Mowa tronowa, otwierająca parlament angielski, zapowiedziała między innemi przedsięwzięciami nadanie samorządu Irlandyi, „takiego samego, jaki posiada Anglia.“ Nie należy tej obietnicy brać literalnie. Lord Salisbury prowadzi wreszcie grę podwójną. Za pomocą swego projektu (wypracowanego niegdyś przez Balfoura) chce on z jednej strony załatwić sprawę, której godła wypisali na swym sztandarze gladstoniści i poderwać im grunt pod nogami, z drugiej — obdarować Irlandyę szeregiem pozorów samorządu, które nie zmienią w zasadzie jej położenia, ale pozbawią ją na czas pewien haseł agitacyjnych.

Podczas gdy konsul francuski oświadczył bułgarskiemu ministrowi spraw zagranicznych w Belgradzie, że jego rząd uważa sprawę Chadourne'a za wyjaśnioną, poseł francuski w Konstantynopolu tegoż dnia zastrzegł przed Portą, że Rzeczpospolita nie przyjmuje zasady wyrażonej w nocie bułgarskiej co do wydalania cudzoziemców po piśmiennem uwiadomieniu ich konsula.

Wrzenie w Hiszpanii nie ustaje. Trzech anarchistów stracono, ale lawa ciągle wydziera się z wulkanu i grozi przewrotem. Do uspokojenia kraju jeszcze bardzo daleko.

BADANIA NAUKOWE.

METAFIZYKA W ŚWIETLE NAUKI *).

Nauka nie daje odpowiedzi na wszystkie zagadnienia, mogące się zrodzić w umyśle człowieka, oświadcza ona nawet wprost, że na pewne z nich nigdy odpowiedzi nie znajdzie. Myśliciel po latach badań staje wobec wiecznych tajemnic bytu z tym samym zasobem doświadczenia, z jakim przed laty do zapasów stanął i odchodzi wreszcie przekonany, że błędne koło metafizyki nie przecina w żadnym punkcie linii naukowego postępu. Świat zaś nadzmysłowy, otoczony nimbem owych tajemnic, przez samo to wyłączenie go z badań nabiera większej jeszcze mistyczności, skutkiem czego postępowanie ludzkie staje się wysoce niekonsekwentnem, objawia się wewnętrzne rozdwojenie przekonań, jak u owego anatoma, który odbył pielgrzymkę na grób pewnego świętego i którego nastrój pobożny nie został bynajmniej naruszony przez to, że w kościach czczonych poznał ...kości zwierzęcia (Steinthal).

Otóż temu „wielkiemu pragnieniu wieku, pragnieniu takiej jakiejś doktryny, któraby posłużyła do zespolenia naszej wiedzy, kierowania naszych poszukiwań i kształtowania życia w taki sposób, iżby postępowanie nasze mogło być istotnym wynikiem przekonań,“ pragnął zadośćuczynić nieżyjący już dziś filozof Jerzy Henryk Lewes rzuceniem w świat „Zagadnień ducha i życia.“ Już po wypowiedzeniu swego zamiaru sprowadzenia na odpowiedni tor ludzkich myśli metafizycznych autor widzi, iż „niewątpliwie zbliża się czas jakichś potężnych narodzin,“ spostrzega, że „metafizyka zdradza oznaki rozbudzonego na nowo życia; po długim okresie zaniedbania i pogardy zagadnienia jej na nowo domagają się praw swoich; metafizyka stanowi zawadę na naszej drodze: albo zetrzemy ją w proch, i koła naszego rydwanu przejdą po niej, albo też siłę jej oporu należy zmienić na siły poruszające, i to, co jest przeszkodą, stanie się podnietą; potrzeba tylko zrozumieć i zastosować metodę, która była dotąd sprawczynią tak świetnych postępów w nauce, a wraz przy jej pomocy indukcye i dedukcye, wzięte z doświadczenia, dostarczą nam rozwiązań do każdego zagadnienia metafizycznego, jakie tylko daje się postawić racyonalnie.“

Mówi to Lewes, ten sam popularyzator wiedzy pozytywnej, który przez lat 30 nieustannie przekonywał swych czytelników o bezcelowości i bezskuteczności marnowania wysiłków na rozwiązanie tych zagadnień nierozwiązalnych. We wstępie do swej *Historyi filozofii* (t. I, str. 18 przekładu Ad. Dygasińskiego) przyrównywa on myśliciela, uprawiającego metafizykę do człowieka, który, mając chęć udania się do Ameryki, obstawałby przy odbyciu tej podróży piechotą, gdyż piesza podróż jest poetyczniejsza, aniżeli statkiem parowym.

Wydając *Zagadnienia*, rozumiał Lewes zmianę podstawowych zasad swych przekonań; zgaduje przeto zradzającą się nieufność czytelników do mistrza, który się przerzucił do obozu swych byłych przeciwników: „*Timeo Danaos* — powiedzą jedni, a więc opuścił filozofię pozytywną — zauważą drudzy“ — domyśla się autor i aby jako tako nawiązać nić przewodnią w historyi swoich przekonań, twierdzi, że nie jest to bynajmniej z jego strony odwrót,

*) J. H. Lewes. *Zaganienia ducha i życia.* (Podstawy przeświadczenia) z 4-go wyd. oryg. tłom. I. K. Potocki. Warsz. 1892.

Dwanaście rubli starczy na drogę
Z sprzedaży „Poezyi prozą“,
Dziś jak Słowacki powiedzieć mogę,
Że moje rymy mnie wiozą!

III.

Parowiec sunął po Wiśle szarej,
Jak pług fal skiby odwracał,
Z nieba słoneczne kapały żary,
Kiedym mój bilet opłacał.

Dzięki utarczce konkurencyjnej
Do Płocka jedzie się tanio,
Walka charakter ma tendencyjny,
Zwrócono uwagę na nią.

Z Górnickim Fajans wszczął pojedynek,
Za rapier ceny im służą,
Każdy statkami zdobywa rynek
I coraz tańszą podróżą.

Gdy Fajans cięcie zniżki wymierzy
Drogą plakatów obwieszczeń,
Publiczność tłumnie do niego bieży —
Miej kieszeń i patrzaj w kieszeń!

Lecz gdy Górnicki z cięciem się słania
I Fajans daje drapaka,
Publice radzi głos przekonania
Wspierać interes swojaka.

Niby „Gudronit“ z „Exsiccatorem“
Walczy Górnicki z Fajansem,
Konkurencyjnym wyścig wre torem
Zwycięża ceny dystansem.

Górnicki nosi wąs zawiesisty,
Fajans przedstawia typ wschodni,
Wynik utarczki jest oczywisty:
Gdzie tanio tam najwygodniej!..

Lecz z końcem wieku dziewiętnastego
I w nas się budzi krytyczność:
Jeżeli Fajans zje Górnickiego
To potem zje i publiczność!

Więc choć do Płocka Fajans w ostatku
Obniżył ceny połowę,
Niewiele osób na jego statku,
Górnicki zbił go na głowę.

A przecież chodzą płotki (jeżeli
Płotkom człek wiarę by dawał)
Że się rywale porozumieli
I biorą ludzkość na kawał...

Nawet synowie chytrej Judei
Na tę złapali się fintę,
Sam rubla dałem dziś „dla idei“,
Choć nos mi opadł na kwintę!

IV.

Ach, dla idei, tak, dla idei,
Czegóż nie robi dziś człowiek?
Na ziemi płacze, ufny nadziei,
Że w niebie łzy otrze z powiek.

Na ziemi u swej pieniężnej braci
Nieraz pożycza przy winie
Wierząc, że Pan Bóg im to zapłaci
Na ostatecznym terminie.

Nieraz fałszuje księgi świadomie
I tem odpiera naganę,
Że nad chmurami w handlowym domie
Jest wszystko lepiej spisane.

Monolog w nieco zmienionym stylu
Głosiłem w natchniony sposób,
Kapitan słuchał stojąc w profilu
A przy nim dość dużo osób.

Kapitan rzewnie poglądał z boku,
W oczach mu lamp sto świeciło,
Lecz w tym uśmiechu, w tem rybiem oku
Zakłopotanie znać było!

I mógłbym długo słowo natchnione
Miotać w młodzieńczym zapale,
Gdy wtem żyd siwy wziął mnie na stronę
I szeptać jął poufale:

„Proszę ja pana! Pan ładniej gada
„Niż rabin z Białego-stoku,
(„Pieniądze warta jest jego rada,
„Byłem tam łońskiego roku).

„Pan jak on mówi, choć młodszy wiekiem,
„Ja jestem żydek sumienny.
„Ale kapitan jest prostym człekiem
„I przytem jest niepiśmienny!“

(D. c. n.).

lecz tylko „zmiana frontu,“ że przez cały czas wystąpień swoich przeciwko metafizyce napaści miały na celu tylko nieracyonalną metodę, jako taką, przez którą wszelkie zagadnienia stawać się muszą nierozwiązalnemi.

Odpowiemy na to słowami autora.

„Metafizyka nie osiągnie *nigdy* swojego celu, *ponieważ cel ten leży po za doświadczeniem. Trudnością jest tu niemożliwość.* Żaden postęp dokonany być nie może, *ponieważ podstawa pewności nie jest możliwa.* Chcieć poznać więcej, niż zjawiska, ich podobieństwa, współbytność oraz następstwo — jest to chcieć przekroczyć *nieubłagalnie zakreślone granice ludzkich zdolności.* Ażeby coś więcej poznać i wiedzieć, trzeba *być* czemś więcej.“ (*Hist. Fil.* str. 17).

Pozostawiwszy na uboczu kwestyę podstawowych przekonań autora, zajmijmy się rozważeniem tego, co było wyrazem filozoficznych jego poglądów w ostatnim okresie jego działalności, w okresie nawrócenia do zagadnień metafizycznych.

Wiadomo, że Comte wyłączył z dziedziny wiedzy pozytywnej wszelką metafizykę. Sądzę, że wszyscy zgodzą się z autorem, iż filozoficznej jest poddać zagadnienia metafizyczne — przed wykluczeniem ich — spekulacyjnym warunkom wszystkich innych, bo przeczenie nic rozwiązuje żadnej kwestyi. Zwycięstwo osiąga się tylko przez lepszą filozofię. Wszakże każde prawie badanie prowadzi do zagadnień metafizycznych (siła, materya, przyczyna itd.). Pomijanie więc tych zagadnień nie wyklucza ich pojawiania się na każdym kroku w nauce.

Metodę naukową, którą chce myśliciel angielski stosować do metafizyki (pojmowanej zgodnie z określeniem Arystotelesowskiem, jako nauka o koncepcyach najogólniejszych) wyprowadza w dość oryginalny sposób z szematu Bacona, każąc mu wierzyć, że domyślał się możliwości zastosowania tej metody do zagadnień metafizycznych. Filozofię przedstawia Baco jako piramidę, mającą w podstawie historyę naturalną, na miejscu następnego piętra — umiejętności przyrodnicze (fizykę), zaś jako wierzchołek — naukę o „przyczynach formalnych i celowych,“ u Lewesa „najwyższe uogólnienia badań“ — (metafizyka).

Wnioski, jakie Lewes wyprowadza z tej idealnej konstrukcyi Bacona, nie są w rzeczywistości wnioskami, jakimi on je chce mieć, lecz prędzej apriorystycznie postawionymi dogmatami. A więc: 1) skoro mamy się wznieść do metafizyki przez naukę, nie powinniśmy nigdy przeoczać metody naukowej; 2) jeżeli zgodnie z zasadami indukcyi nigdy nie mamy szukać pomocy w żadnem źródle wyższem, niż doświadczenie, to musimy przemocą usuwać wszelkie jakiekolwiek badania, przekraczające doświadczenia, stwierdzone lub stwierdzić się dające. Jeżeli zgodzić się mamy na ten drugi wniosek, to wypadałoby odrzucić badanie naukowe wszelkich kwestyj metafizycznych, jak przekraczających doświadczenie, i rzecz sprowadziłaby się do tego, że nawet metoda naukowa nie jest w mocy rozwiązać zagadnień nadzmysłowych. Inaczej wszakże sądzi autor. Nierozwiązalność ową odnosi on tylko do pewnej części metafizyki i dziedzinę ową, wykluczoną z zakresu badań naukowych nazywa metafizyką pozadoświadczalnością (świat numenalny Kanta). Jeżeli zaś i pierwszy wniosek z szematu Bacona ma być dla nas obowiązujący, to uwierzywszy w ukrytą tam myśl, metodę naukową powinniśmy stosować do wszystkich zagadnień metafizycznych, nie zaś tylko do pewnej ich części, bo wszakże w takim razie Baco pomieściłby na szczycie swej piramidy nie całą metafizykę, ale tylko część jej empiryczną.

Idźmy dalej. Pojmujemy teraz, że autorowi każdy przedmiot badania przedstawia trzy strony: 1) pozytywną czyli poznaną, 2) spekulacyjną, czyli nieznaną, jakkolwiek poznawalną i 3) niepoznawalną. Zagadnienia pozadoświadczalne wyłącza Lewes ze świata poznawalnych i stanowczo metafizyki metempirycznej *nie uznaje* (str. 66). Zaznaczmy, że owo nieuznawanie metempiryi jest u autora jakby czasowem „aż do zdobycia odpowiednich środków; jest ona *odroczona*, nie zaś usunięta“ (str. 37). Podkreślamy tę obawę przed stanowczem zdaniem, która u filozofa jest, bądź co bądź, nie do wytłomaczenia.

Rozważmy teraz bliżej, do czego sprowadza się nakreślona tu teorya Lewesa o rozwiązalności zagadnień metafizycznych za pomocą metody naukowej. Otóż po odrzuceniu, czy też czasowem usunięciu na bok pozadoświadczalnych, które nie powinny umysłu naszego zaprzątać, jako pytania, niemogące być sformułowane w terminach doświadczenia i na które na podstawie danych doświadczalnych odpowiedzieć niepodobna, tj. po odrzuceniu z metafizyki — metempiryi (krótko mówiąc — właściwej metafizyki, gdyż jeżeli jakie kwestye nierozwiązalne trapią i wiecznie trapić będą umysł ludzki, to właśnie owe metempiryczne — duch, życie, materya), pozostaje gałąź metafizyki empirycznej. Jakie zagadnienia wchodzą w jej zakres, autor nie mówi, powiada tylko, że należy do niej wszystko, co jest rozwiązalne na podstawie doświadczenia, pojmowanego w jaknajszerszem tego słowa znaczeniu. Ponieważ zaś nie rozwiązawszy zagadnienia, nic o jego rozwiązalności wyrzec nie możemy nawet w świecie zjawisk fizycznych, a pragnienia nauki, kiedyś niedorzeczne, dziś mogą być urzeczywistnione (chęć zważenia ciał niebieskich, zmierzenia ich odległości, szybkość światła, skład chemiczny słońca itd.), niedostępne zaś dzisiaj mogą być opanowane jutro i stać się zdobyczą nauki, przeto sądzę, że właściwą dziedziną metafizyki empirycznej, którą obrał sobie autor, jako specyalny przedmiot swych studyów, metafizyki doświadczalnej i rozwiązalnej — są zagadnienia już rozstrzygnięte.

Oto co wynikło z owego racyonalnego postawienia zagadnień metafizycznych, z owych potężnych narodzin, które myśliciel angielski nam przepowiadał. Skończyło się na dość pospolitej myszy. I na to to narodziny złożyły się wieki. Wielcy myśliciele świata wszyscy co do jednego odsuwali na bok rozwiązanie tej zagadki, które im się samo pod ręce nawijało. O Kancie nie ma wogóle co mówić, bo wyrzekłszy raz, że światy fenomenalny i numenalny (empiryczny i metempiryczny) nie mają z sobą nic wspólnego, tedy wnioski, dotyczące jednego z nich nie mają żadnej mocy w zastosowaniu do drugiego, stracił odrazu z przed oczu zbawienną do pozaświatowości drogę; a ten niedołęga Hegel, przekonany już o związku metafizyki z nauką, zamiast traktowania pierwszej naukowo, wziął się do badania nauki metodą metafizyczną na prawdziwe Lewesa utrapienie.

(D. n.).

Dr. Henryk Cylkow.

NOWA HISTORYA EKONOMII POLITYCZNEJ.

Ekonomia polityczna nie może pochlubić się obfitością podręczników, przedstawiających jej dzieje. Te, które posiada, odznaczają się prawie wszystkie niezwykłą ciasnotą poglądów i zaściankowością widnokręgów — przenoszeniem zasad społeczeństwa mieszczańskiego w ubiegłe wieki i wydawaniem odpowiednich wyroków subjektywnych. Świeżo przybyła nowa w tej mierze książka znanego i u nas badacza, A. Espinasa *). Wzięliśmy ją do ręki z pewną ciekawością. Przedewszystkiem autor nie jest specyalistą. To z góry pozwalało mniemać, że popełni liczne nieścisłości. W rzeczywistości jednak przewyższył te nasze oczekiwania. Znajdujemy bowiem, zwłaszcza w ostatnim rozdziale jego pracy, takie ustępy, które ani chwili nie pozwalają wątpić, iż autor nietylko nie miał w ręku autorów, o których mówi, lecz nadto pisząc o nich, korzystał ze źródeł sprawozdawczych nader podejrzanej wartości. Zresztą, dodajmy na obronę Espinasa, że i wśród specyalistów można spotkać się z czemś podobnem. Przypuszczaliśmy wszakże, że owe niedokładności wynagrodzi on przynajmniej tem, co rzadko występuje u przeciętnego fachowca. Niewyszkolony w rutynie przeżuwania tych samych zdań i określeń — tak mniemaliśmy — wniesie z sobą powiew świeżości! Tymczasem mamy znowu deptak, w którym jako ostatnie słowo przebierania nogami na tem samem miejscu zjawia się chętka „syntezy.“ Nie myślimy urągać tej dążności umysłu ludzkiego, która prowadzi do uogólnień i stanowi bezwarunkowo jeden z najważniejszych środków postępu. Idzie nam jedynie o jej wypaczenie. Jeżeli ktoś na podstawie faktów wysnuwa pojęcia ogólne, co więcej, za pomocą prostszego uogólnienia chce objąć szersze, wynaleźć przyczynę podstawową mnóstwa poszczególnych a odrębnych zjawisk i powiązać je pomiędzy sobą, witamy taki zamiar przyjaźnie, nawet wtedy, gdy idzie fałszywą drogą. Lecz jest jeszcze inna „synteza,“ przeciw której występować należy. Wyobraźmy sobie człowieka, którego cała działalność umysłowa polega na grzebaniu się w cudzych uogólnieniach i syntezach. Nie obchodzi go, jak je zdobyto, lecz jedynie, jak one brzmią. Rozumie się, jeden badacz źródłowy spostrzeże pewne fakty i wyprowadzi z nich pewne wnioski, drugi z tych wywiedzie coś odmiennego, zaprzeczając pierwszemu itd. Wreszcie przychodzi ktoś trzeci, nielubiący sięgać do źródeł, lecz zużytkowujący jedynie uogólnienia cudze, oburza się na „jednostronność“ poprzedników, niekiedy wspaniałomyślnie, jako istota wyższa, co umie odczuć niższość innych, powie, że dobrze iż na świecie istnieją jednostronności, bo wzajemnie siebie niszczą i wydają coś wielostronnego, i właśnie sam przedsiębierze dokonanie tego, tj. pogodzenie różnych uogólnień bez pytania się, jak je osiągnięto. Takie mieszanie grochu z kapustą i rodzynkami otrzymuje nazwę „syntezy.“ Jest to wprost kompilacya ogólników, wstydząca się swojej rodzonej nazwy, a jej rozpanoszenie się w umysłowości społeczeństwa jest dowodem umysłowego upadku. Otóż Espinas, bezwarunkowo do dziś jedyny poważniejszy socyolog życia gromadzkiego zwierząt, stał się właśnie tego rodzaju syntetykiem w ekonomii. „Doktryny bezwzględne niosą dla dnia dzisiejszego jedynie zupełny przewrót, dla jutra zaś bezład,“ w tem streszcza się *alfa* i *omega* jego stanowiska. Drga jednak pod jego piórem myśl jedna, zresztą zgoła nie nowa, bo będąca parafrazą comtyzmu, a nadto często powtarzana, mianowicie, że ekonomia polityczna nie jest i nie może być nauką, lecz tylko sztuką. Pośpieszmy jednak nadmienić, że autor wyklucza z niej studya nad urządzeniami ekonomicznemi i ich ewolucyą dziejową, zaliczając to do socyologii, i pozostawia jedynie, jako zadanie ekonomii politycznej, różne przepisy postępowania praktycznego ku osiągnięciu dobrobytu. Przyrównywa ją, po tem skurczeniu, do żeglarstwa, rolnictwa, medycyny i polityki. Między innemi stawia on kwestyę metody dla owego zbioru zasad praktycznych. Zdawałoby się, że reguła tu bardzo prosta. Mianowicie należy naprzód zbadać socyologię zjawisk ekonomicznych, czem one są w danej chwili dziejowej, i w jakim stopniu wiążą się z dobrobytem tych lub innych grup ludności, a następnie zająć odpowiednie stanowisko. Lecz Espinas zamiast tego, zaczyna nader długie i nader jałowe filozofowanie. Wie jedynie, że ekonomia polityczna, będąc sztuką, winna ulegać zmianie z biegiem czasu, jak to

*) *Histoire des doctrines économiques.* Paryż.

widzimy w technice budowy statków i narzędzi pracy, tj., że metodologia środków praktycznych winna być różną w czasie i przestrzeni.

Po za tem stawia jeszcze inne żądanie dla ekonomisty, które przytoczymy dosłownie, tem bardziej, że w niem streszcza się cała niemal metodologia tej umiejętności. Według niego „jedyny środek popchnięcia naprzód ekonomii politycznej polega na tem, aby sterować ją w kierunku coraz większego rozszerzenia życia społecznego. Ekonomista winien być przesiąknięty poczuciem harmonii, jednoczącej klasy narodu i narody wzajemnie pomiędzy sobą; wśród zapasów, często nader zaciemnionych, gdzie ścierają się żywioły tak odmienne, interesy sprzeczne, współzawodnictwo, obawa nowości wobec pożądania, rojenia szlachetne i burzycielskie, winna trzymać się, jako latarni przyświecającej, jedynego uczucia, który swoją szerokością i trwałością góruje nad innemi, a mianowicie sprawiedliwości i ludzkości.“ Czy jednak, bez poznania życia i bez analizy, daleko poprowadzą te wszystkie uczucia? Czy owa humanitarność ponadklasowa i godzenie dążeń sprzecznych nie zaprowadzą badacza na manowce? Czy wreszcie trzymanie się „sprawiedliwości“ otworzy mu oczy? Wszak owa sprawiedliwość jest zawsze wyrazem istniejących stosunków i nie może być środkiem wybrnięcia z nich, podobnie jak pojęcia świata pańszczyźnianego nigdy nie wyłoniłyby „sprawiedliwości,“ polegającej na zniesieniu go.

Przejdźmy jednak do dziejów ekonomii politycznej. Zdawałoby się znowu, że klucza do zrozumienia każdorazowo stawianych zasad dobrobytu należało szukać w istniejącym porządku społecznym. Espinas w jednem miejscu wypowiada tę myśl: „Wogóle idee ekonomiczne są odzwierciedleniem stanu społecznego i strzeszczają mniej lub więcej świadomie jego potrzeby.“ W innem zapowiada wydanie rychłe „ogólnej historyi filozofii czynu,“ która zdaniem jego winna być podstawą dziejów ekonomii politycznej. Gdzieindziej znowu spotykamy zdanie, bezwarunkowo słuszne, że najniedorzeczniejsze w naszem rozumieniu idee, jeśli panowały kiedyś wszechwładnie, musiały tkwić w współczesnem sobie otoczeniu, ale to mu bynajmniej nie przeszkadza o kilka stronic wcześniej dawać nauczkę wiekom średnim za ich ustawę cechową, reglamentacyę produkcyi i inne „fałsze“ ekonomiczne. Zresztą czasy starożytne, zredukowane u Espinasa jedynie do poglądów pisarzów greckich, są opracowane najlepiej; kilka tych stronic czyta się z rzeczywistem zajęciem. Podkład życiowy, jako źródło tych lub innych zapatrywań teoretycznych, występuje tu wciąż przed czytelnikiem. Pojawia się on jeszcze przy rozpatrywaniu wieków średnich, oraz kiedy jest mowa o ukazaniu się merkantylistów i fizyokratów. Wogóle jednak Espinas bada teorye ekonomiczne w oderwaniu od życia. Plato jest dlań niezmiernie wielkim winowajcą, wszystkie utopie, co więcej, nawet Rousseau i Mably istnieli tylko dla tego, ponieważ kiedyś myślicielowi greckiemu przyszła chęć wojścia na tę drogę! Podobnie zamiast wyjaśniać poglądy na lichwę warunkami społecznymi swojego czasu, poszukuje on ich źródła we wpływie idei ascetyzmu chrześciańskiego. Słowem, z wyjątkiem starożytności, rozwój doktryn ekonomicznych idzie u niego niezależnie od życia. Wreszcie kiedy wchodzimy w okres po A. Smith'ie, bezład dosięga chaosu. Mieszczańskie pojmowanie rzeczy spętało autora i nie pozwala mu ani jasno zdawać sprawy z kierunków chwili obecnej, ani nawet patrzeć przedmiotowo na przeszłość. Ekonomia starożytna stawiała przedewszystkiem warunki dobrobytu moralnego, a dopiero na drugim planie materyalnego, a ostatni podporządkowywała pierwszemu. Autor nazywa to okresem „mistycyzmu“ w tej nauce! „Naturalizm“ (powiedzmy wprost: panowanie indywidualizmu mieszczańskiego) zaczyna się u niego dopiero z Sullym i Bodinem, lecz zapanowywa z merkantylizmem, który trafnie zresztą został określony jako polityka interesów królewskich, dążąca do stworzenia bogactwa sztucznego. Fizyokratyzm jest okresem polityki monarchicznej, stawiającym sobie za zadanie podniesienie bogactwa „przyrodzonego.“ Wreszcie ze Smithem zapanowywa „naturalizm,“ a jeszcze bardziej po zacieśnieniu jego doktryny przez protekcyonistów. Wszystko więc, co nie pasuje do pojęć świata dzisiejszego, a zatem pełne instynktu społecznego wywody Arystotelesa, zgodne z techniką ówczesną i życiem, prawa przeciwko lichwie i reglamentacya średniowieczna — zostało ochrzczone nazwą nienaturalności!

Praca Espinasa jest dla nas jednym dowodem więcej, iż poglądy mieszczańskie czynią ludzi niezdolnymi nietylko do wyrobienia sobie jasnego pojęcia o wieku XIX, lecz wprost uniemożliwiają wszelkie ogarnięcie przebiegu dziejowego w zakresie zjawisk ekonomicznych.

Lud. Krz.

NASZA NAUKA I NASI UCZENI.

(Dokończenie).

Druga plaga umysłowości naszej, to pewna zarozumiałość i próżność, która prowadzi nas często do „wielkich, nowych i oryginalnych pomysłów.“ Żaden naród nie posiada stosunkowo tyle dziwolągów pseudo-naukowych w rodzaju „Filozofii natury,“ „Pomysłów do dziejów wiedzy,“ itp. ogłoszonych drukiem oraz setek innych, spoczywających na szczęście w szufladach autorów, ponieważ nie znalazły nakładców, jako dzieła „zbyt poważne i uczone“! Jest to objaw bardzo smutny, że liczni „uczeni“ nasi wpadają w młodszym lub starszym wieku w manię zrobienia przewrotu w nauce przez nowe a „oryginalne“ poglądy. Jeśli wszyscy mówią, że A=B, to wielce będzie oryginalnem, gdy ja powiem, że A i B są wielkościami zupełnie różnemi; pomysł gotowy, obalenie zaś dowodów innych i przytoczenie nowych na poparcie oryginalnego twierdzenia — to już rzecz najmniejsza, drugorzędna. Powstają więc teorye dziecinne, nieuzasadnione, po których nauka przechodzi do porządku dziennego, jak gdyby nigdy nie istniały. W większości tych nowych pomysłów i teoryj trzeźwy umysł dopatrzy się odrazu gwałtownej chęci ich autorów stania się oryginalnymi kosztem chociażby prawdy. Ludzie tacy, bałamucący umysły innych, stanowią u nas niestety, objaw stosunkowo bardzo rozpowszechniony. Nie ulega wątpliwości, że i za granicą zdarzają się jednostki podobne, w rodzaju Figuier'ów, Jäger'ów itd.; jeśli atoli zważymy ilościowy stosunek takich fabrykantów „nowych idei“ do badaczów poważnie nad postępem nauki pracujących, przestraszy on nas w naszem społeczeństwie, porównany z tem, co widzimy na obczyźnie.

Jakaż tego przyczyna? Wypływa to z gnuśności w prowadzeniu samodzielnych badań i w czerpaniu wiedzy prac źródłowych. Kilkakrotnie słyszałem od jednego ze zmarłych uczonych naszych, że nie śledzi postępów nauki za granicą dlatego, aby mógł być zupełnie oryginalnym w swoich pomysłach. Rzeczywiście udawało mu się to, szkoda tylko, że najczęściej pomysł jego były tylko powtórzeniem dawno już zapomnianych w nauce idei, które jako bezpodstawowe runęły pod ciosami nowych odkryć i zdobyczy. Ci goniący za oryginalnością zapominają o mądrych słowach Heinego, iż karzeł na plecach olbrzyma więcej od niego widzi.

Powiedziałem wyżej, że brak zamiłowania do samodzielnych badań jest często przyczyną puszczania się na manowce spekulacyjne, pseudo-naukowe, nieprowadzące do żadnego celu. Jest to punkt wielkiej wagi i nad nim zatrzymam się nieco.

Jak wiadomo, cały zasób naszych wiadomości naukowych zawdzięczamy badaniom różnych jednostek w różnych czasach i przy różnych okolicznościach. Człowiek, który sam nigdy nie pracował naukowo, nie może należycie ocenić stosunku badań naszych do rzeczywistości, nie może zrozumieć, dlaczego pewne fakty jakoby przyjmować należy *cum grano salis*, na innych zaś można polegać. Każdy rodzaj badania posiłkuje się pewnemi samodzielnemi metodami, które stanowią wytwór ducha ludzkiego, są zmienne i podają nam fakty przez pryzmat stopnia swej doskonałości oraz indywidualnych cech badacza; co dla jednego bowiem będzie faktem oczywistym, to dla innego umysłu wymagać może licznych jeszcze dowodów. Otóż, jak trafnie powiada Huxley: „Wszyscy ludzie, odznaczający się wielkiemi zdolnościami spekulatywnemi, narażani są łatwo na największe niebezpieczeństwo z tego względu, iż podane do wiadomości ogólnej fakty w naukach przyrodniczych traktują nietylko jako bezwarunkowo prawdziwe, lecz i wyczerpujące, jak gdyby można było postępować z nimi dedukcyjnie, podobnie jak z twierdzeniami Euklidesa. W rzeczywistości atoli każdy fakt, bez względu na stopień jego prawdopodobieństwa, jest prawdziwym tylko w stosunku do środków spostrzegania oraz do stanowiska tych, którzy go opisali.“ Kto więc sam nie pchał taczki naukowej, kto nie spotykał się oko w oko z trudnościami i położeniami; w których niepodobna stanowczo orzec, czy coś jest faktem, czy tylko przypuszczeniem; kto sam nie pracował i nie pokonywał przeszkód badania, spostrzegania, a co ważniejsza, wyciągania wniosków z obserwacyj, ten nie ma i nie może mieć najczęściej należytego krytycznego zmysłu naukowego i przyjmuje fakty naukowe *in verba magistri*, snując z nich, jeśli są nieprawdziwe, najniedorzeczniejsze wnioski i uogólnienia. Z drugiej znów strony tacy książkowi „uczeni“ odrzucają nieraz pewne dowody, niezgodne z ich ideami, nie uzasadniając bynajmniej swego postępowania.

Słowem, badania samodzielne uczą krytycyzmu w ocenianiu materyałów naukowych, bez którego wszelkie dalsze wywody i uogólnienia muszą z konieczności bardzo chromać. Ileż to razy spotykamy się z pracami bardzo naukowo zatytułowanemi i mającemi pozornie cechy rozpraw poważnych, które opierają się na kilku faktach, uznanych zapewne dlatego, że ten lub ów mistrz tak powiedział, chociaż sama trudność dokładnego zaobserwowania ich nakazuje nam przyjmować je tylko warunkowo i tylko do czasu ponownych, ściślejszych poszukiwań. Tymczasem zaś autor, wierzący im ślepo, snuje na tych kruchych i błędnych podstawach teoryę jednostronną, nienaukową i bezużyteczną. Wykonanie pracy samodzielnej, dostarczającej nowych zdobyczy nietylko jest ważne dla postępu wielką, ale daje korzyść samemu autorowi, rozwijając w nim krytycyzm. Jakże często widzimy, że np. lekarz, który kiedykolwiek zajmował się lub zajmuje teoretycznemi poszukiwaniami w dziedzinie fizyologii, mikroskopii, chemii itp. ma trzeźwy bardzo pogląd na chorobę i jej leczenie, stawia umiejętne i trafne dyagnozy itd. Pochodzi to tylko stąd, że wyrobił on w sobie umiejętność krytycznego oceniania faktów oraz ostrożność i oględność w przyjmowaniu za pewne tego, co pozornie zdaje się jasnem. To samo widzimy np. w praktycznej działalności przyrodników, popularyzujących wiedzę. Dlaczego w pismach niespecyalnych tak często pojawiają się artykuły niby naukowe, którym poważny badacz żadnej wagi nie przypisze. Popularyzator, je-

śli sam nigdy nie badał i niema przeto odpowiedniego zmysłu krytycznego, niejeden dziwoląg naukowy przyjąć może za dobrą monetę i nawet rozpływać się będzie w uniesieniu nad nową zdobyczą nauki, bałamucąc umysły czytelników. Zresztą niech i pod tym względem za przykład posłużą nam kraje obce, których kultura o całe niebo przewyższa naszą; w Niemczech, Anglii, Francyi wszyscy celniejsi popularyzatorowie są badaczami: Huxley, Haeckel, Vogt, Marshall, Jourdan, Zacharias, Perrier, Tyndall, Faraday, Helmholtz itd. itd. Naturalnie wszędzie są wyjątki i my sami posiadamy kilku wytrawnych popularyzatorów, pomimo iż ci badaniem samodzielnem nigdy się nie zajmowali; do większości atoli pośredników pomiędzy nauką a szerokim ogółem stosują się najzupełniej uwagi powyższe.

W wysokim stopniu niekorzystnie wpływa również nieznajomość historyi wiedzy; pod tym względem wina ciąży często bardzo (i to nietylko u nas, lecz niekiedy i zagranicą) na kierownikach młodzieży. Istnieje specyalna szkoła „uczonych“ profesorów, dla których ma wartość zawsze i bezwzględnie tylko „ostatni wyraz“ nauki. Wczoraj otrzymaną *nową* pracę, obalającą długoletnie spostrzeżenia, streszczają oni dzisiaj z katedry, podając ją jako ewangelię dlatego jedynie, że jest najnowsza. Płynie stąd szkoda podwójna: naprzód nie wszystko, co jest nowsze, jest lepsze i gruntowniejsze od starszego, często zaś bywa błędne i nieuzasadnione; powtóre, takie chwytanie w lot nauki bez uwzględniania historyi wiedzy wpływa demoralizująco na młodzież, ucząc ją pobieżności i rozwijając w niej nawet pewną pychę i zarozumiałość. Gruntowna znajomość dziejów nauki, zwłaszcza powstawania i zawierania najrozmaitszych teoryj i hipotez uczy nas, jak ostrożnym być należy w budowaniu teoryi i jak często to, co dziś pozornie ją stwierdza jutro obala.

Potrzeba nam więc większego specyalizowania się, mniej zarozumiałości i mniej chęci dokonywania przewrotów w nauce, mniej spekulacyi, więcej pracy samodzielnej, polegającej na zdobywaniu nowych a pewnych prawd, większej znajomości literatury naukowej, a nadewszystko historyi wiedzy.

Dr. H. T. Rozicki.

HYGIENA.

Dr. F. Sauder, *Zarys nauki o publicznej ochronie zdrowia*, przełożył S. Markiewicz. Z zapomogi Kasy pomocy imienia dr. J. Mianowskiego. Warszawa, 1891. Str. XII i 638. Cena rs. 1 kop. 50.

Cechą ogółu lekarzy jest dziś pogoń za „najnowszymi“ wynikami wiedzy, za „najnowszymi“ faktami. To też wydawcy książek i czasopism kierunkowi temu hołdować muszą, a dzieła, nieprzynoszące nowej wiązanki faktów, trudno znajdują i czytelników i wydawców. Myśli te nasuwa nam dzieło, z zapomogi Kasy Mianowskiego wydane, a którego nagłówek powyżej przytoczono. Niejeden, spojrzawszy na pełny tytuł książki i dowiedziawszy się, że napisana ona była (w wydaniu drugiem, z którego przekład dokonano) w r. 1885, pomyśli: ba — ileż to nowych odkryć od tego czasu nauki pomocnicze hygieny uczyniły — to coś „starego.“ A przejrzawszy książkę powierzchownie, może też rzec: toć nic z „nowych faktów tu nie mamy.“

I słuszność mieć będzie, kto w pogoni za nowymi faktami zatracił poczucie potrzeby obejmowania całokształtu danej umiejętności i łączenia jej z innemi gałęziami wiedzy, która z pojedynczych faktów składa nowe poglądy, zmieniając i uzupełniając całość jakiejś nauki.

Kto jednak uczuwa potrzebę pewnego filozoficznego kierunku w każdym szeregu zdobytych faktów, kto chce i umie naukę w taki sposób traktować, ten szczerze wdzięcznym być winien tłomaczowi i wydawcom za przyswojenie literaturze naszej dzieła Saudera. Autor, jako hygienista-praktyk, przedstawia swą umiejętność z punktu widzenia praktyki sanitarnej. Znakomity znawca stosunków zdrowia Anglii, kraju, gdzie praktyka wyprzedzała nieledwie żądania nauki — w świetnym wykładzie umie połączyć wskazania hygieny z jej wykonawstwem w obecnych warunkach społecznych. Dzieło Saudera obfituje w materyał faktyczny, niejednemu znany, czyta się jednak z wielkiem zajęciem, dzięki umiejętnemu zestawieniu danych, dzięki jedności idei przewodniej, którą jest stosowanie hygieny jako nauki do potrzeb społecznych, bieżących. Styl autora (dzięki wysoce poprawnemu przekładowi — po części) bardzo gładki, pociągający, czyni książkę godną wielkiego upowszechnienia. Wydawcy zrobili w tym kierunku, co mogli, dając za *półtora rubla czterdzieści jeden* arkuszy wybornego dzieła, dostępnego i pouczającego dla średnio wykształconych czytelników, nie mówiąc już o ogóle lekarzy.

D-r St.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

Teodor Jeske Choiński. *Po złote runo*, powieść współczesna, 1891.

Talent i oryginalność tak rzadko wschodzą u nas na niwie powieściowej w przyjaznych dla wzrostu warunkach, że gdy u rzemieślnika, wyrabiającego powieści lub nowele, odnajdujemy choćby ślad ich tylko— gdy nabieramy przekonania, iż on także chwilami w natchnieniu pracuje, już chętnie i wiele gotowiśmy mu wybaczyć. Wszak nieraz, czytelniku, zdarzyło ci się wziąć do rąk lichą powiastkę, utwór mierny pod wieloma lub wadliwy pod pewnym względem i po przeczytaniu zamknąć książkę bez odrazy, a nawet z jakąś dla niej życzliwością. Może na szarem, pospolitem tle dostrzegłeś skrawek ładnego obrazka; może pośród wytartych figur wpadła ci w oko sylwetka przypominająca prawdę i życie; może w jakim urywku posłyszałeś drżącą strunę poezyi lub tętno bijącego serca, lub echo niekłamanego śmiechu czy płaczu; może w szarości uderzył cię błysk myśli niepożyczonej — więc wdzięczny za odrobinę złota, znalezioną w bryle lichego kruszcu, gotów jesteś raczej rozgrzeszyć, niż potępiać. Pełna wad powieść — dzięki jednemu rysowi dodatniemu, sięga czasem na taki szczebel wartości, który dla innej, poprawnej ze stron wielu, bywa niedostępny. Bo talent, jak złoto nawet w okruchu ma wartość, dla której zgoła inna miara istnieje, niż ta, jaką przykładamy do zalet pisarskich, dających się — jak w każdem rzemiośle — nabyć z pomocą doświadczenia, wprawy, osłuchania się i przypatrzenia.

P. J. Choiński — jako krytyk nieraz zapewne tę prawdę czytelnikom swoim wypowiedział, traci ją zaś z uwagi zwykle wtedy, gdy sam powieść układa. Nigdy on i nikogo nie przekonał, żeby miał być obdarzony wyjątkowym do powieści i dramatu talentem. Że zaś wciąż pisuje jedne i drugie, zatem co najmniej utracił już prawo do współczucia i pobłażania, jakie służy dyletantom i talentom, uciemiężonym przez rzemieślniczą produkcyę. Ta praca p. J. Ch., której odbiorcami są fejletony i działy krytyczne niektórych pism, bynajmniej talentu jego nie uciemięża, żadnych usprawiedliwionych dążeń do innych kierunków twórczości — nie zabija, skrzydeł, przeznaczonych do wyższego lotu — nie pęta, a to dlatego, że one nie istnieją. Owszem, na tem właśnie polu stalówka jego porusza się z większą łatwością, wykonywając pożądaną ilość obrotów na minutę, czy godzinę. Sądzimy, że łatwość ta znakomicie się zmniejsza, a owoc pracy spada co do ceny w miarę, jak p. J. Ch. odbiega w inną stronę, np. na pole powieści. A że wycieczki takie powtarza systematycznie, przypuszczać więc należy, iż jest w posiadaniu wielkiej ilości szarego papieru, z którego co tydzień wykrawa swoje fejletony, a ponieważ one nie wyczerpują zapasu, więc od czasu do czasu wycina większe obrazki, mające z innymi jego płodami tę wspólną cechę, iż są również — szare.

Gdyby powieść „Po złote runo“ ukazała się przed laty wielu, gdy na półkach księgarskich spoczywało zaledwie kilka utworów tego rodzaju, gdy w głowie — nie mówię przysięgłego krytyka, lecz przeciętnego czytelnika, nie utworzył się jeszcze istny skład typów i położeń powieściowych, wtedy mogła ona zyskać miano oryginalnej. Dziś, chcąc uwydatnić jej zalety, możemy powiedzieć, że forma nie kłuje ostrymi kantami, a język jest poprawny. Lecz, gdyby było inaczej, mielibyśmy powód do zdziwienia. Bo któż, jeśli nie krytyk „od powieści“ wie, jak najzręczniej oszlifować temat, zwłaszcza powszedni; kto, jeśli nie on, posiada najobfitszy wybór figur i położeń i lepiej umie zużyty typ odświeżyć a starą sytuacyę wpleść do nowego wątku! Cały szereg głównych i epizodycznych postaci, cały wątek powieści p. J. Ch. jest tylko dowodem, że autor wiele czytał i potrafił ustrzedz się plagiatu, nie wprowadzając jednak do swego utworu ani jednego świeżego typu, ani jednej nowej sytuacyi. Sommer, gbur nadęty pychą bogacza; córka jego, pewna swych wdzięków i posagu mieszczanka; Mirski — matka i córka, bezbarwne okazy szlacheckiej matrony i panny; hrabia Dębnoski — poczciwego serca utracyusz i łowca posagowy; ordynaryjny w ruchach i mowie ekonom Domaniewski — są to szablony tak pospolite, że niema prawie powieści lub komedyi, gdzie by się one nie roiły. Równie wytarty jest temat — uganianie się bankrutów za posagiem. Pozostaje jeszcze bohater i... tendencya. Pierwszy na razie obudza wątpliwość, ażali nie jest oryginalną postacią, jakimś nowym typem łowcy posagowego, snadnie jednak dostrzegamy, że to tylko ucieleśniony argument autorskiej tendencyi. Cóż to więc za dziwo, ta ostatnia?

Posłuchajmy: „co jego (bohatera) ojciec i dziad szanowali, co czcili jako świętość najwyższą, oni, ostatniej epoki prorocy (profesorowie uniwersytetów w Lipsku i Berlinie) wydrwiwali, inną, lepszą obiecując wiarę. Wyrzuciwszy z wszelkich nauk pierwiastki nadprzyrodzone, usunąwszy dawnego Stwórcę po za nawias wiadomości pozytywnych“ ...no, naturalnie, zaszczepili jad „filozofii“ w duszy szlachcica Radziejowskiego. Jako „filozof“ otrzymuje Radziejowski *carte blanche* do spełniania rozmaitych czynów bardziej nikczemnych, niż chwalebnych, ujawnia lichy charakter, pogardę pracy, chęć łatwego pozyskania środków do używania wygód i przyjemności życia. W chwili, gdy czytelnik odwraca się plecami do bohatera i postanawia ręki mu nie podawać, p. J.-Ch. woła z przekąsem: Za pozwoleniem, ten pan jest bardzo porządny, to potomek „mężnych rycerzy“ i „nieustraszonych w radzie obywatelów kraju.“ Należy winić tylko „doktryny obskurantyzmu materyalistycznego“ (?!), w których skąpali go „prorocy epoki ostatniej.“ Poczem p. J.-Ch. uroczyście obciera swego bohatera ze śladów niebezpiecznej kąpieli i ukazuje go, jako człowieka prawego, w którym utajony był popęd do czynów szlachetnych i szerokiej działalności.

Wygodne zajmuje stanowisko autor wobec wszelkiej „nauki,“ „filozofii“ i rozmaitych „kwestyj“ społecznych. P. Jeske-Choiński nie potrzebował się nigdy uczyć i nawet wolno mu być tak ciemnym, jak mnich średniowieczny, byle prawowiernie głosił przed światem: „nauka kradnie równowagę duszy, mąci spokój serca, rozbudza palące a niezadowolone pragnienia i okrutny pesymizm w końcu.“ Mógł nigdy nie tknąć żadnego podręcznika filozofii i nie łamać głowy nad zawiłemi pytaniami socyologii, bo zarówno dla obalania doktryn, jak do rozwiązywania najtrudniejszych zagadnień, miał on zalecone gotowe formuły bardzo stare, lecz zarazem bardzo krótkie i zwięzłe. Filozofia prowadzi na bezdroża, kobieta jest kapłanką rodziny itp. — wszak to nawet papuga spamięta i powtórzy. Zaiste, z takim „filozofem“ nawet żak szkolny nie podejmie sporu o wartości „doktryn obskurantyzmu materyalistycznego.“ I my go zaniechamy.

Lecz podziw wyrazić wolno. Napisać sporą powieść, obdarzyć ją tendencyą, przytoczyć na korzyść jej wiele argumentów rozumowych i obrazowych — i nie uronić ani jednej oryginalnej myśli... to talent!

F. B.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Z POZNAŃSKIEGO

7 lutego.

Walne zebranie. — Nowy drugi burmistrz. — Regulacya Warty. — Prasa i księża na Górnym Szlązku.

Wracamy znów do walnych zgromadzeń. Niewątpliwie „Towarzystwu przyjaciół nauk“ służy prawo pierwszeństwa i od niego też zaczynamy. Na przewodniczącego powołano przez grzeczność hr. Tarnowskiego, który rzeczywiście nie pominął tak słodkiej sposobności do palnięcia maleńkiej mówki. „Nie wiedziałem zgoła, szanowni panowie, że w Towarzystwie przyjaciół nauk panuje zwyczaj wybierania osobnego prezesa na walne zebranie. Za zaszczyt, który mi robicie, serdecznie dziękuję, uważając, że nie świadczycie go dla mnie, ale dla instytucyi, którą reprezentuję. Wdzięczny wam jestem za to panowie, jakkolwiek mam przewodniczyć wobec prezesa, wobec którego i daleko większi ode mnie prezesi musieliby zblednąć.“

Krótko tedy przemówił król stańczyków galicyjskich, ale wymownie, a ponieważ logiczne myślenie stanowi jego piętę Achillesową, więc i w tej mówce należycie się ono uwydatniło. Podziękował za zaszczyt, który wyświadczono jemu, ale równocześnie był przekonany, że ten sam zaszczyt był przygotowany dla Akademii krakowskiej! Mniejsza zresztą o to, kilka głupstw więcej na świecie lub mniej nie stanowi tak zasadniczej różnicy, aby się o nie kłopotać.

Towarzystwo rozwijało się w roku ubiegłym normalnie i bez żadnych gwałtownych przewrotów. Posiedzenia wydziałów odbywały się jak zwykle, biblioteka i muzeum powiększały się tak, że zachodzi obawa, iż wkrótce zabraknie miejsca na nowe okazy. Do biblioteki przybyło 108 dzieł w 130 tomach (nie wliczając w to dalszych ciągów i wydawnictw peryodycznych, stale nadsyłanych, oraz nowych dubletów), do zbioru rękopisów 9 woluminów, do zbioru dyplomatów 9 numerów, do zbioru pamiątek historycznych 13 numerów, do gabinetu numizmatycznego 46 sztuk, do zbioru rycin 2 egzemplarze, do gabinetu archeologicznego 87 sztuk, do galeryi artystów 4 numery.

Walne zebranie zamianowało czterech nowych członków honorowych Towarzystwa, arcybiskupa Stablewskiego, arcybiskupa Vászarego z Granu, dr. Helmholtza i dr. Micheleta, wszystkich (sic!) za zasługi naukowe (!!). Do zarządu wybrano na przewodniczącego hr. Augusta Cieszkowskiego, na zastępcę dr. B. Wicherkiewicza, na sekretarza hr. Wawrzyńca Benzelstjerna Engeströma, na redaktora dr. Celichowskiego, na kasyera Teodora Jakowickiego.

Miejskie i powiatowe kasy oszczędności odbyły również sejmik w Poznaniu. Kas tych jest u nas około 70 i one to wysłały swych reprezentantów, po większej części landratów i burmistrzów, na obrady. Nie chodziło tu wcale o drobnostki, bo kasy mają w swych rękach 45,000,000 marek oszczędności, które wyłącznie pod ich opieką pozostają. Jedne z nich posiadają większe fundusze, drugie mniejsze: 18 kas ma do 100,000 marek depozytów, 30 do 500,000 m., 6 do 1,000,000, 14 do 3,000,000, 2 do 5,000,000. Obrady obracały się głównie około formalności statutowych i mało rzucały światła na ruch i czynności finansowe. Jedna rzecz wyszła na jaw — kasy powiatowe i miejskie muszą obawiać się silnej i niebezpiecznej konkurencyi ze strony kas oszczędności pocztowych, bo organizacya pocztowa nadaje się w wysokim stopniu do uruchomienia składek z korzyścią depozytaryuszów, tj. przenoszenia sum z jednej miejscowości do drugiej bez żadnych kosztów dla interesantów i bez straty procentów ani nawet za jeden dzień. Delegaci tedy zgodzili się na utworzenie „Związku kas oszczędności prowincyi poznańskiej,“ tj. zjednoczenia, obejmującego publiczne kasy oszczędności w Poznańskiem. Niestety Związek ten będzie tylko filią „Niemieckiego Związku kas oszczędności.“ Bliższych przepisów nie obmyślono, a i ukonstytuowanie zarządu odroczono do przyszłego walnego zebrania.

„Katolickie Towarzystwo rzemieślników polskich w Poznaniu pod wezwaniem św. Józefa, liczące 216 członków, ogłosiło w tych dniach sprawozdanie ze swej działalności. Chudo się ona przedstawia, bo głównie polegała na braniu udziału w praktykach religijnych, treść zaś odczytów, w Towarzystwie wygłoszonych, chyba dla rzemieślników nie bardzo była praktyczna.

W mieście mieliśmy kilka ważniejszych wypadków. Na nadzwyczajnem posiedzeniu rady miejskiej dokonano już wyboru drugiego burmistrza miasta Poznania. Po długich naradach oddano 22 głosów (z 30) na asesora sądowego z Merseburga, p. Kinzera. Rzecz oczywista, że nowo wybrany, chociażby może i chciał, z ludnością miejscową porozumieć się nie zdoła, bo żadnego języka słowiańskiego nie zna. Zresztą pod tym względem nie będzie on stanowił wśród swych nowych kolegów magistratu poznańskiego wyjątku.

Sprawa regulacyi koryta Warty jest już od kilku dni dzięki energii nadburmistrza przynajmniej na drodze do załatwienia. Komisya, wydelegowana do zbadania tej sprawy, odbyła obecnie kilka posiedzeń, które wprawdzie jeszcze do stanowczego porozumienia się nie doprowadziły, ale sprawę samą naprzód posunęły. Obradowano nad kilku projektami, najgoręcej zaś nad projektem budowniczego Krausego, na który komisya bezpośrednio się zgodziła. Wedle niego ma być dotychczasowe poznańskie łożysko Warty zasypane wraz z zachodnim kanałem fortecznym, a dolna część Warty zamieniona na port. Rzeka sama ma być z miasta usunięta i przeprowadzona przez wschodni kanał forteczny. Odpływy miejskie, które obecnie przyjmuje Warta, mają być za pomocą pomp i kanalizacyi zwrócone do Warty dopiero poniżej wielkiej szluzy. Bogdanka i Wierzbok mają być również zasypane. Projekt jest obmyślany na szeroką skalę i piękny, ale za to kosztowny, bo 6,235,000 marek obejmujący i posiadający zasadniczą wadę. Oto najnowsze badania wykazały, że w bezpośredniem sąsiedztwie po za tamami woda gruntowa pozostaje zawsze $2\frac{1}{2}$ metra poniżej powierzchni powodzi, a usunięcie tej wody, to rzecz pierwszorzędnej wagi. Zdaje się jednak, że mimo to projekt Krausego się utrzyma, a chociaż miasto będzie musiało grube zapłacić koszta, wyniesie to zawsze mniej, niż coroczna powódź wyrządzi szkody.

Na Górnym Szlązku powstało nawet dość poważne nieporozumienie między prasą polską a księżmi. Ci ostatni, nie pomni przysług, wyświadczonych sobie przez *Katolika* w czasie walki kulturnej, uderzyli bez najmniejszego powodu na trzy wychodzące tam gazety polskie. Ludność się oburzyła i stanęła po stronie dzienników. Księża owi wcale nie są niemcami.

t. z.

LISTY PETERSBURSKIE.

Koncert męzkiej szkoły św. Katarzyny. — Odesłanie biletów syndykowi. — Chwiejna postawa Towarzystwa dobroczynności. — Trupa Kościeleckiego. — Hipolit Derewojed.

W szkole męzkiej św. Katarzyny odbył się koncert na rzecz niezamożnych uczniów, jużci przychodzących, bo stali są na opiece administracyi kościoła. Dochodu otrzymano około 700 rubli.

P. Janowska odśpiewała przy akompaniamencie skrzypiec p. Kurnatowicza pieśń „Caro mio ben“ i — jak zwykle — wprawiła słuchaczów w zachwyt. Nowa, wschodząca gwiazda p. Narbutt (pianistka), odegrała etiudę Chopina i polonez Liszta. Znawcy dowodzą, że w porównaniu z p. Poznańską młoda artystka ma technikę mniej wyrobioną, za to więcej uczucia. P. Kurnakowicz (skrzypce) i p. Jocher (wiolonczela) otrzymali rzęsiste oklaski.

Słyszeliśmy tu i owdzie zdanie, że parafia, posiadająca znaczne zasoby, nie ma prawa na wzór instytucyj dobroczynnych urządzać koncertów. Otóż wyjaśnić należy, że nie jest to koncert zarządu administracyi. Rzecz tak się ma. Gdy prefektem szkoły był ks. Wollinger, mający obszerne stosunki, zwykle przed świętami Bożego Narodzenia na rzecz biednych uczniów, jużci takich, co na koszt parafii nie mogli się dostać, kolendował wśród swych znajomych. W czasie świąt jedni z hołoty otrzymywali potrzebne książki, inni płaszczyki, obuwie, najbiedniejsi całą garderobę, a nawet bieliznę.

W przeszłym roku prefekturę objął ks. Kołłupajło, niemający znacznych stosunków, to też nadzy i bosi, a takich było mnóstwo, musieliby zaprzestać uczęszczać do szkoły. Natenczas inspektor jej, p. Szaniawski, uprosił kilku znajomych sobie artystów, zaś u administracyi kościoła salę biblioteki i na prędce, prawie doryweczo, urządził wieczór muzyczny, w nadziei, że zbierze choć paręset rubli. Rezultat przewyższył oczekiwania, otrzymano bowiem około ośmiuset, być może dzięki temu, że i pp. syndycy żywy przyjęli udział, choć nie jako administratorowie, ale jako osoby prywatne. Powinniśmy o tem dobrze pamiętać. W tym roku nader czynny i uczynny nowy prefekt, ks. Zelba, uznał, że zamiast próśb o wsparcie dla biedaków u osób pojedynczych, najlepiej jest znowu koncert urządzić, tem bardziej, że artyści chętnie przyrzekali uczestnictwo. Otóż znowu pp. syndycy, jako obywatele, nie zaś administratorowie, przyjęli na swe barki znaczną część trudu. Znana ze swych dobrych chęci w sprawach biedoty p. Wojnicka, rozprzedała wśród znajomych najdroższe bilety.

Tutaj nawiasowo zaznaczymy dziwny fakt. Syndyk, p. Rudzki, jednemu z *dobrodziejów naszych*, osobie wcale zamożnej, wydającej nawet wielkie bale, posłał w ko-

percie dwa bilety, z dołączeniem uprzejmego listu. Po pewnym czasie otrzymuje nową kopertę (adresowaną do siebie), a w niej bilety, swój własny liścik i... ani słowa. Tak wielka grzeczność zdziwiła szanownego syndyka nie na żarty. Chwil kilka stał oszołomiony, nie wiedząc, co z tym fantem zrobić...

Ot jacy jesteśmy dla osób kołaczących do naszych serc drewnianych w imieniu maluczkich!

Nieurodzaj w guberniach środkowych uczynił trudniejszem życie i w stolicy. Liczba szukających wsparcia u zarządu Towarzystwa dobroczynności w tym roku jest znacznie większa, a zasobów mało. Setki członków nie wnoszą opłaty za rok ubiegły, a są też tacy, którzy od lat kilku nie płacą. Niektórzy z członków zarządu projektują naruszenie kapitału zapasowego, lecz większość nader słusznie dowodzi, że będzie to pierwszym krokiem do ruiny Towarzystwa. Instytucya, która dotychczas zbierała, jeśli zacznie wydawać zasoby lat przeszłych, nie mając nawet nadziei wypełnić szczerb, podpisze własną ręką swój wyrok.

Trzeba wiedzieć, że i tutaj jesteśmy wierni sobie. W pierwszych latach istnienia Towarzystwa wszyscy się chętnie rzucili do pomocy, bo to było modne. Jakie to siarczyste mowy wygłaszano! Z czasem zaczęliśmy stygnąć, dziś zimni jesteśmy jak hiperborejskie skały.

Znaczniejszem źródłem dochodu pozostały: koncert i bal katolickiego Towarzystwa dobroczynności, który w języku tutejszych gazet nazywa się balem polskim, w rzeczywistości zaś jest: i francuskim, i niemieckim, i włoskim, i polskim — jest katolickim.

Czytelnicy *Prawdy* wiedzą, że nie jesteśmy zwolennikami pląsów dla łez, lecz nim ludzkość nie znajdzie innego źródła, Towarzystwo dobroczynności musi trzymać się tej deski oburącz...

Trupa p. Kościeleckiego z teatru Nemetti przeniosła się do klubu Szlacheckiego. Ostatnie przedstawienie w teatrze Nemetti „Książę Pan“ było najlepszem ze wszystkich. Pierwszy raz p. Kościelecki rozdał wszystkie role właściwie i umiejętnie. Nawet skromny p. Siedlecki, gdy mu wyznaczono rolę odpowiednią, grał z wielką werwą i prawdą.

Zmarł jeden ze skromnych pracowników, ś. p. Hipolit Derewojed, który pod względem zasług dla dobra ludzkości przewyższał niektórych możnych. Za szorstkość języka nazywano go w swym czasie warchołem — czy słusznie? Dowiemy się na sądzie ostatecznym.

N. B.

WSPOMNIENIA POZGONNE.

Karol Kucz.

Kiedyś stał Karol Kucz w pierwszym szeregu znakomitości Warszawy, nie tyle jako pisarz, ale jako człowiek, skupiający koło siebie życie literacko-towarzyskie. Był to w całem i dobrem znaczeniu tego słowa redaktor *kuryerowy*, kierownik pism szeroko czytanych, popularnych, zajętych sprawami miejscowemi i umiejących z każdego dnia wyławiać siecią te drobne wypadki, które na szalach czasu są prawie nieważkie, a jednak prawie wszystkich obchodzą. Urodził się w r. 1815 a ujął pióro dziennikarskie w 1839. Pierwsze swoje prace (poetyczne) pomieszczał w *Przeglądzie warszawskim*, *Magazynie Mód*, *Nadwiślaninie* i in. Utwory te, dopełnione późniejszymi, wyszły osobno p. t. „Próby poetyczne.“ Zarówno w nich, jako wogóle we wszystkich swych poezyach i sztukach dramatycznych („Przebiegły kuzynek,“ „Marynarz,“ „Rodzina mazurów,“ „Suknia balowa“ itd.) Kucz był wierszopisem zręcznym, miłym, poczciwym. Wysoko nie wzlatał, ale kręcił się ciągle około serca ludzkiego, z którego wydobywał uczucia niegwałtowne i niegłębokie, ale ciepłe i czyste. Znana była jego wprawa i talent improwizowania toastów, krótkich apostrof rymowanych, w których umiał zawrzeć jakąś słodycz. Potomność nie będzie rozkoszowała się jego poezyami, ale współcześni znajdowali w nich wiele wdzięku.

Jeżeli wszakże chodzi o zasługi Kucza, to leżą one na polu dziennikarskiem. Jako redaktor *Kuryera warszawskiego* i założyciel *Codziennego*, przyczynił się niewątpliwie do rozwoju prasy brukowej, a nawet był poniekąd jej ojcem. Lubiany, szanowany, zeszedł do grobu w 77 roku życia, kiedy pokolenia, które wychowały się pod jego skrzydłem lub okiem, daleko już odbiegły starca. Żegnamy go szczerym żalem.

Morell Mackenzie.

Nie potrzebujemy przypominać czytelnikom naszym znanych i niestartych jeszcze z pamięci wypadków, jakie się rozegrały przy łożu konającego Fryderyka, którego lekarzem i piastunem w ostatnich chwilach był słynny laryngolog angielski. Jak wiadomo, był on przedmiotem zajadłej nienawiści niemców, wzbudzonej i podsycanej przez gromadę lekarzy, oburzonych na to, że ich zlekceważono i że cudzoziemiec leczy ich monarchę. Grono najzawziętszych, pod dowództwem słynnego chirurga berlińskiego Bergmanna, ogłosiło broszurę, której autorowie usiłowali dowieść, że Mackenzie nie poznał się na chorobie, że ją pogorszył nieumiejętnem postępowaniem, że ówczesne wycięcie raka z ktrani mogłoby uratować Fryderyka. Chociaż napadnięty odpowiedział na te zarzuty również broszurą, pozostało dotychczas tajemnicą, czy on rzeczywiście pomylił się w dyagnozie, czy też w interesie księcia i jego żony poświęcił swą sławę lekarską względom politycznym i przeczył istnieniu raka, dopóki Fryderyk nie zasiadł na tronie, od którego według konstytucyi usunęłaby go tego rodzaju choroba.

Ciekawe wspomnienia z tego dramatu ogłasza *N. Fr. Presse*. Kto nigdy nie widział — powiada ona — Mackenziego w jego książęcem mieszkaniu londyńskiem, ze wspaniałemi poczekalniami, w których spotykało się najwyższe towarzystwo, kto go nie widział w szpitalu otoczonego tłumem studentów, ten nie może wyobrazić sobie przeciwieństwa z jego życiem w Charlottenburgu i Poczdamie. Już w San Remo Fryderyk przyzwyczaił się czerpać nadzieję życia w oczach Manckenziego. W Charlottenburgu nie mógł nawet godziny obejść się bez niego. Kilkakrotnie budził go w nocy i przywoływał dzwonkiem, aby zapytać, czy nie zmienił swego zdania o chorobie. Z najrozpaczliwszych zwątpień umiał Mackenzie swoją pewną postawą przeprowadzać cesarza do niezmąconej radości. Nic dziwnego, że żona i córki chorego okazywały lekarzowi najwyższą wdzięczność. Przy kominku prowadziły one z nim często długie i niewymuszone rozmowy o najrozmaitszych przedmiotach i planach. W Berlinie pokazywał się Mackenzie bardzo rzadko, gdyż go obrzucano obelgami na ulicach. Uśmiechał się na te zniewagi, a w uszach brzmiała mu stale powtarzana prośba cesarzowej: „Nie baw pan tam długo, nie zostawiaj nas samych z chorym. Wróciwszy, znajdował swój pokój ubrany kwiatami przez księżniczki a często nawet przez cesarzową.

Jego opis zgonu Fryderyka jest wzruszający. Mackenzie stał po prawej stronie łóżka, trzymając rękę chorego i podpierając mu głowę z uchem przyłożonem do ust. Obok niego następca tronu usiłował stłumić głębokie rozrzewnienie. W nogach łóżka ks. Henryk tłumił szlochanie. Z lewej strony klęczała Wiktorya z twarzą opartą na lewej ręce cesarza; przy niej zaś dr. Howell. Trwało to z kwandrans, gdy Mackenzie łagodnie złożył głowę monarchy na poduszkach, wyprostował się, wyjął z kieszeni zegarek i pokazując go następcy tronu, rzekł: „Może Najjaśniejszy Pan tę chwilę zechce dokładnie oznaczyć.“ Po tych słowach obaj bracia wybuchnęli płaczem, podczas gdy Wiktorya tylko mocniej przycisnęła swoją twarz do ręki zmarłego. Młody cesarz Wilhelm, otarłszy łzy, podszedł do okna, dał znak chustką stojącym na zewnątrz dragonom, którzy wkrótce rozlecieli się na rozmaite strony, a bramę pałacu zamknięto.

Nie przeczuwał Mackenzie, że tak prędko podąży za swym pacyentem. Umarł bowiem mając lat 55.

LIBERUM VETO.

Interpelacye naszych czytelników. — Rodzina rozkładająca się na swe pierwiastki. — Jaka szkoła. — Wychowywanie niemowląt w domu a w instytucyi społecznej. — Dwa poglądy — oba słuszne. — Racye teraźniejszości i przyszłości. — Żywioł, który wywołuje zakłady publiczne i uczy z nich korzystać. Brak powodu do obaw i właściwy punkt sporu. — *Psychologia dziecka.*

Jedna z czytelniczek *Prawdy* oburzyła się wielce w roku zeszłym na naszego korespondenta paryskiego za chęć wyzucia rodziny z opieki nad małemi dziećmi i oddania ich do zakładów publicznych. Szanowna korespondentka w obszernym liście wyłożyła powody swego protestu, a nadto wezwała mnie do głosu. Niedawno znowu otrzymałem dwie inne korespondencye w tej samej sprawie i z tem samem żądaniem. Więc odpowiadam dziś na wszystkie razem.

Ludziom, nieznającym historyi urządzeń społecznych, zdaje się, że rodzina, powstawszy jako naturalny i konieczny układ stosunków ludzkich w zaraniu istnienia człowieka, zachowuje ciągle swą niewzruszoność i ulega bardzo nieznacznym zmianom. Tymczasem niewiele jest instytucyj, które by tyle przeszły zmian i tak długą kolej rozwoju, jak właśnie ta uważana za nieruchomą. Z pewnością pomiędzy rodziną ludów pierwotnych a obecnych zachodzi daleko większa różnica, niż pomiędzy pierwotnym szałasem a obecnym pałacem. Nie jest to bowiem jedynie związek serc i uczuć, ale również w znacznej mierze pewien ustrój ekonomiczny, który musi przekształcać się wraz z rozwojem stosunków materyalnych. Nie sięgając zbyt daleko, porównajmy np. dzisiejszą rodzinę wielkomiejską, która kupuje wszystko w sklepach, posyła dzieci małe do zakładów Freblowskich, a większe do szkół, oddaje bieliznę do pralni itd., z niewygasłą jeszcze rodziną szlachecko-wiejską, gdzie niemal wszystko wyrabiano w domu, będącym jednocześnie: zbiorem najrozmaitszych warsztatów, tkalnią, stolarnią, pralnią, szkołą, warzelnią piwa, restauracyą itd. W pierwszej widzimy ustrój bardzo już uproszczony i pozbawiony mnóstwa pierwiastków, które przybrały postać przedsięwzięć samodzielnych; druga jest jeszcze bardzo złożonym i stanowiącym społeczeństwo miniaturowe. Postęp, wydzielając z tych różnorodnych zlepków ich części składowe, wyłączył także i wyłącza ciągle wychowanie i kształcenie dzieci. Już dzisiaj niezmiernie rzadko zdarza się, ażeby one pobierały naukę w domu: wszystkie, młodsze i starsze, ubogie i bogate, uczęszczają do szkół publicznych, których nigdy zastąpić nie może edukacya domowa. Dla niej pozostawiliśmy tylko pierwsze lata życia dziecka, przekonani, że naodwrót znowu nic może jej zastąpić żaden zakład publiczny. I oto w tem przekonaniu tkwi punkt, około którego owija się główna nić sporu między obrońcami i przeciwnika-

mi rodziny jako instytucyi wychowawczej. Rozejrzyjmy się w tej sprawie.

Pierwsi twierdzą, że rodzice otaczają swe dziecko skrzydłami nietylko starań, ale i miłości, że oni nie pozbędą się nigdy wrodzonego instynktu i tych uczuć, które ich nierozerwalnymi węzłami łączą z potomstwem, z krwią ich krwi własnej; że najlepsza mamka nie wyrówna matce a dozorca — ojcu, że chcieć ten stosunek naturalny zamienić na sztuczny jest to go zwyrodniać bez celu i potrzeby, a z wielką szkodą dla ludzi.

Przeciwna strona odpowiada na to poważnymi argumentami. Przedewszystkiem utrzymuje ona, że ogniska domowe nie są bynajmniej świątyniami, a ich kapłani i kapłanki nie zawsze należą do istot idealnych. Obok rodziców dobrych i kochających swe dzieci są potwory, które je biją, gnębią, głodzą, zniepr awiają; są stadła żyjące w wiecznej i gorszącej kłótni, które swoje potomstwa zatruwają moralnie od kolebki; są samoluby, okrutnicy, waryaci, zbrodniarze, w których instynkt ojcowsko-macierzyński zanikł zupełnie. Dalej idą zmuszeni pracować w domu i po za domem, którzy poprostu z braku czasu nie mogą zajmować się wychowywaniem dzieci. A wreszcie nawet przy najlepszych warunkach i chęciach, czy wychowanie jest czynnością tak prostą i niewymagającą żadnych uzdolnień, żadnej wiedzy? Rzecz dziwna, jeżeli zamierzamy robić pończochy, szyć, żąć, kosić, uczymy się tego; tymczasem zdaje nam się, że praca tak trudna, złożona z bardzo subtelnych środków, nie potrzebuje wcale przygotowania. Mężczyzna dwudziestokilkoletni, który kształcił się w najrozmaitszych przedmiotach, tylko nie w pedagogice, panna kilkonastoletnia, która myślała o wszystkiem, tylko nie o pielęgnowaniu niemowląt, ci ludzie, którzy nie wiedzieliby, co począć, gdyby im powierzono małe dziecko, skoro się połączą i on zostanie ojcem a ona matką, natychmiast otrzymują natchnienie pedagogiczne i stają się doskonałymi wychowawcami. Nie jestże to komedya naiwnych złudzeń? To też z bardzo nielicznymi wyjątkami, rodzice tegocześni, jak i dawni, są tylko nieudolnymi improwizatorami w wychowywaniu swych dzieci: karmią je, odziewają, chronią od uszkodzeń i chorób, karzą bez ładu, poddają rozmaitym wpływom bez systemu, jednego dnia otaczają je troskliwością a przez dziesięć nie zwracają na nie żadnej uwagi, słowem, działają dorywczo i po partacku. O stałym, drobiazgowo obmyślanym i wykonywanym planie, o umiejętności i ciągłości oddziaływań nie może być nawet mowy w tej licho sztukowanej robocie. Czyż ona da się porównać z rozumną, uporządkowaną organizacyą zakładu pod kierownictwem odpowiednio uzdolnionych i ukształconych pedagogów? Ileż ojców i matek wyrówna im swą wiedzą i sztuką?

Pozostają uczucia rodzicielskie. Nikt nie zaprzeczy, że one istnieją i że są bardzo ważnym czynnikiem wychowawczym. Ale czy przez nadmierny rozrost nie przynoszą raczej szkody, niż pożytek? Zresztą są one w obecnej postaci wytworem stosunków i urządzeń społecznych i wraz z niemi mogą uledz przeistoczeniu. Dziś niejedna matka nie wyobraża sobie, ażeby miała siłę oddać swoje niemowlę do zakładu. Gdyby ona jednakże sama wychowała się w nim, z pewnością sądziłaby inaczej, gdyż wzrosłaby ze słabszem przywiązaniem do domu rodzicielskiego. Jeżeli tedy kilka pokoleń z rzędu przejdzie od niemowlęctwa przez instytucye publiczne, zniknie ku tym ostatnim wstręt uczuciowy.

Tak się przedstawia ta sprawa w dwustronnem oświetleniu. Zapytacie mnie teraz czytelnicy, kto ma słuszność? Niewątpliwie obie strony, ale pierwsza w odniesieniu do teraźniejszości i warunków obecnych, druga w odniesieniu do przyszłości i warunków odpowiednio zmienionych. Gdyby ojciec i matka rzekli nam: dobrze, oddamy nasze niemowlęta do zakładu publicznego, ale do jakiego? Naturalnie musielibyśmy przyznać, że takiej instytucyi nie ma, a nawet wytworzona dziś nie spełniłaby swego zadania należycie. Nie znaczy to jednak, ażeby ona nie była pożądana i ażeby kiedyś nie musiała powstać. Przyniesie ją rozwój siłą konieczności. W wieku XIV lub XV dom rodzinny był również szpitalem waryatów i szkołą dla głuchoniemych. Kto miał obłąkanego albo niemowę, musiał go trzymać, leczyć i kształcić u siebie, gdyby zaś wówczas zalecono opiekunom tych nieszczęśliwych, ażeby ich oddać do osobnych zakładów, odpowiedzieliby tak, jak dzisiejsi rodzice, których nakłanialibyśmy do powierzania niemowląt wychowalniom publicznym. Może nawet oświadczyliby również, że uczucia miłości nie pozwalają im na podobną ofiarę i że nikt obcy nie będzie tak pielęgnował kaleki, jak ojciec lub matka. A jednakże teraz posiadamy szpitale dla obłąkanych i przybytki dla głuchoniemych.

Pomijając istoty wynaturzone i zwyrodniałe, które każde zwierzę przewyższa w czułości macierzyńskiej i dla których własne potomstwo stanowi tylko przeszkodę i ciężar życia, jest jedna kategorya ludzi, która odrazu, bez wahań, owszem z najszczerszą radością powitałaby zakłady wychowawcze dla niemowląt, mianowicie biedacy. Ten legion ojców i matek, którzy muszą pracować po za domem, którzy swe noworodki pozostawiają bez opieki i dozoru, a często bez pożywienia, którzy je odstępują, sprzedają, podrzucają i zabijają, ta masa nędzarzów nie rozprawiałaby o miłości rodzicielskiej, o wzroście i zaniku uczuć, o żadnych sentymentach, lecz wrzuciłaby wszystkie swoje dzieci do mamczarni publicznej, gdyby ją gdziekolwiek znalazła. Nieraz już w historyi ubogi tłum wywoływał rozmaite instytucye a wszedłszy do nich, pociągał za sobą klasy zamożniejsze. Czy jeszcze przed wiekiem jakiś bogaty hr. Walewski leczyłby się i umarł w szpitalu? A dziś uważamy to już za fakt naturalny. Dla biedaków stworzono szpitale, szkoły, ogródki dziecinne itd., a za nimi dopiero wkroczyli bogaci i powoli zamienili instytucye te na ogólno-społeczne. Tak będzie z zakładami dla wychowywania niemowląt. Na rodzinie bowiem spoczywają dotąd zbyt liczne i zbyt trudne zadania, którym ona w żaden sposób podołać nie może. Przeciw reformom broni się poświęceniem jednostek, wysiłkami starań i pracy, samolubstwem, sentymentalizmem, hodowlą cnót wyjątkowych, ale ostatecznie oporu rozwojowego nie wytrzyma.

Zdaje mi się, że dosyć jasno przedstawiłem tę sprawę i że czytelnik dostrzegł brak w niej powodu do pociągania za sznur dzwonu alarmowego. Zwolennikom bowiem wychowalni publicznych nie chodzi ani o burzenie rodziny, której najwymowniejsze gadaniny nie naruszą i która sama ulega procesowi rozwojowemu, ani o odbieranie dzieci rodzicom obecnym, ani o gwałty i rozcięcie spójni naturalnych, ale raczej o wykreślenie drogi, po której ona idzie i do dalszych punktów dojść musi. Jedni nie chcą wychowywać swych dzieci, inni nie mogą, prawie wszyscy urabiają ich charaktery i umysły nieumiejętnie i ślepo, czy wobec tego nie rysuje się coraz wyraziściej potrzeba lepszej opieki nad nowemi pokoleniami?

Prawie wszyscy... Do tego punktu sprawy dołączę przypisek. Niedawno wydaliśmy *Psychologię dziecka*. Jest to bardzo sumienne zużytkowanie plonów Pereza, Preyera i innych, którzy tę nowinę uprawiali. Zdawałoby się, że taka książka, jedyna w naszej literaturze (bo istniejąca pod tym tytułem jest tylko cząstkowym przekładem badań Pereza) wobec ożywionego u nas zajęcia się sprawami wychowania, powinnaby mieć pokup, zwłaszcza że setki tysięcy rodziców uważają siebie za najlepszych piastunów swego potomstwa. Jakże sądzicie czytelnicy, ile egzemplarzy tego dziełka rozeszło się w ciągu roku? Około stu, tak — stu. Szanowni panowie i panie, przekonywajcie nas, że posiadacie doskonałą znajomość buchalteryi, inżenieryi, górnictwa, agronomii itd., ale nie wmawiajcie ani w siebie, ani w innych, że umiecie dobrze wychowywać swoje dzieci, nie przeczytawszy żadnej *Psychologii dziecka*. Wyglądacie bowiem tak, jak ociemniali kwiaciarze lub głusi stroiciele fortepianów. Nie przeczę, że pewne wskazówki dała wam tradycya i wiedza z rozmaitych źródeł czerpana, ale przyznacie chyba, że kto chce rozumnie rozwijać umysł dziecięcy, powinien go sobie oświetlić przynajmniej jedną latarnią naukową. Inaczej będzie to zgadywanie, improwizowanie, naśladowanie, ale nie czynność świadoma swych zasad i celów. Nie podoba wam się ta książka, kupcie sobie inną, francuską, niemiecką, angielską, ale kupcie.

Poseł Prawdy.

SPRAWY EKONOMICZNE.

NASZE RZEMIOSŁO CECHOWE.

Warto byłoby rozejrzeć się szczegółowo w powolnym, lecz nieustającym upadku rzemiosła cechowego u nas. Nie będziemy jednak dziś kreślili wszystkich objawów tego konania, zaznaczymy tylko te, które są niezbędne do zrozumienia świeżej utarczki w łamach naszych czasopism z powodu rozporządzenia magistratu miasta Warszawy, o umieszczeniu znaków cechowych na szyldach.

Przerzucając referaty, wypracowane przez cechy poszczególne, a przedstawione odpowiedniej sekcyi warszawskiego Towarzystwa zachęty handlu i przemysłu, spotykamy na każdym kroku utyskiwania, iż „kapitaliści,“ „monopoliści,“ „tandeciarze“ podkopują i uniemożliwiają „pracę uczciwą.“ Zgromadzenie bednarskie powiada: „Działalność kapitalistów w rzemiośle możemy porównać z działalnością pokątnych doradców, odurzających swą blagą nieświadomych.“ Podobnie energiczne a nawet jeszcze energiczniejsze odezwy czytamy w innych sprawozdaniach. Myliłby się jednak, ktoby używane wyrazy brał w znaczeniu dosłownem i w „uczciwej pracy“ widział tradycyjnego lub zapracowanego rzemieślnika, a w „kapitalistach pozacechowych“ — jedynych wilków żarłocznych. „Uczciwa praca,“ przynajmniej ta, o której mowa w sprawozdaniach, zgoła nie oznacza, aby majster cechowy własnoręcznie pracował więcej, niż „monopolista.“ Przyjrzyjmy się, dla oświetlenia przedmiotu, nieco bliżej stosunkom, panującym w rzemiośle szewckim. Widzimy tu naprzód (mamy na myśli ciągle Warszawę) majstrów wykwalifikowanych, u których pracuje po 100 i więcej ludzi. Kasenberg, Taligowski, Chmurkowski i in. są przedstawicielami tego stanu. Ludzie, którzy znaleźli u nich zajęcie, pracują u siebie w domu, otrzymując materyał i odnosząc do kantorów zrobiony towar. Jeżeli pominiemy średnich majstrów, którzy wraz z poprzednią kategoryą stanowią procent bardzo niewielki wśród zastępu szewców, wejdziemy w szeregi drobnych płotek majsterskich, których liczba jest olbrzymia. Drobiazg ten tuli się na końcu Nowolipek i innych tyłach miasta, niekiedy nie posiada ani jednego ucznia, pracuje od wczesnego ranka do późnej nocy i wyrabia towar dla zamożnych towarzyszów z cechu lub pozacechowych“ monopolistów. Majster taki nie różni się niczem od czeladnika, który, jeśli nie ma środków założenia własnego przedsiębiorstwa i wi-

nien pracować na innego, dzisiaj uważa za zbyteczne wyzwalać się. „Wyzwalać się nie stoi, i tak będziemy biedę klepali,“ oto autentyczna odpowiedź jednego z czeladników. Sama organizacya cechowa stała się dzisiaj świadkiem ucisku drobnych majstrów i czeladników przez wielkich, którzy naturalnie w niej rej wodzą. Kasa czeladnicza znajduje się w ich ręku i mimo regularnego spłacania składki odmawiają oni wydawania czeladnikowi „oflegu“ (pomocy w chorobie), jeśli ten przyjął pracę u pozacechowego pryncypała. Gospoda czeladnicza, mieszcząca się w tym samym lokalu, co i majstrowska, stała się wprost kantorem najmu — niczem więcej. Co poniedziałek i wtorek tłumy czeladników i drobnych majsterków cisną się tutaj i licytują swoje wymagania *in minimum* wobec wielkich majstrów. Sądy cechowe są znowu tak stronne, iż każdy z pośród tego drobiazgu, o ile nie obawia się stracić miejsca, udaje się do sędziego pokoju. Wreszcie po za cechowymi majstrami ukazują się kantory i składy, nie wpisane do cechu — owi „monopoliści“ i „kapitaliści.“

Tak się przedstawia stan szewctwa u nas. Podobne stosunki panują w innych zawodach, chociaż nie zawsze doszły już do takiej wyrazistości. Otóż we wszystkich „ankietach“ i utyskiwaniach cechowców słychać głosy nie owego drobiazgu majstrowskiego (o czeladniczym już nie mówię), lecz wielkich i średnich. Oni to przeciwstawiają swoją „uczciwą pracę“ różnym „kapitalistom.“ W gruncie rzeczy jest to walka pomiędzy dwiema grupami kapitalistów, jednych, wybijających się zwolna z pośród tradycyjnego cechu, i innych, przychodzących z gotowymi już kapitałami z zewnątrz. Położenie drobiazgu nie zmieni się, ktokolwiek zwycięży: czy cechowiec zgniecie „monopolistę“ swoją średniowieczczyzną, czy ten ostatni tamtego wyższością techniczną procederu i lepszym węchem. Cechowcy w tej walce konkurencyjnej usiłują oprzeć się na dawnych zwyczajach i zagarnąć dla siebie wyłączność. Magistrat wydając rozporządzenie, ażeby właściciele zakładów dołączali do szyldów swoich napis, świadczący, iż są majstrami cechowymi, oświadczył się za kapitałem cechowym. W gruncie jednak rzeczy sami cechowcy, jak tego dowodzą ich rozprawy w Towarzystwie przemysłu i handlu, pozostali z tego nie zbyt zadowoleni. Wprawdzie rozporządzenie to przynosi im niejedną korzyść— czasową. Każdy chętniej odda dziecko na naukę do członka cechu, niż pozacechowca — na mocy uprzedzenia, ten zaś umie bardzo zręcznie z tego korzystać. Wielu również pójdzie tutaj nabyć towar. Lecz sami cechowcy czują, iż znak ów nie wiele pomoże, zwłaszcza wielcy, którym nie idzie o kilka rubli, lecz o tysiące rocznie. Na posiedzeniu w Towarzystwie odezwał się też któryś z nich z wymaganiem czegoś innego — „ograniczenia produkcyi, wychodzącej z pod stempla majstrów konsensowych“ (tj. pozacechowych)! Z drugiej strony w obronie zagrożonych kapitalistów niecechowych wystąpił przedsiębiorca krawiecki p. Niedźwiedzki. Zupełnie zgadzamy się z tym rzecznikiem pozacechowego kapitalizmu, że „komentarze na szyldzie nie doprowadzą do pożądanego rezultatu pod względem konkurencyi gdyż rzemieślnicy niecechowi bardzo prędko po otwarciu warsztatu zdobywają sobie klientelę, a raz zjednani kundmani, jeśli ich nie odstraszy zły wyrób, nie porzucą rzemieślnika dlatego tylko, że na jego szyldzie nie ma napisu: cechowy... zdaje się, że należenie do cechu i zdolność fachowa nie są ze sobą w tak ścisłym i nierozerwalnym związku, aby jedno bez drugiego istnieć nie mogło.“

Interesy spożywców domagają się bezwarunkowo swobody procederu. Spożywcy chętnie zwolnią cechowców od wszelkich kłopotów o to, aby towar nie był „tandetą,“ gdyż czują, że sami lepiej niż ci, narzucający się dobrodzieje, dbać o to mogą. I nieulega wątpliwości. że interesy ogółu, tj. spożywców, są ważniejsze, niż kilku cechowych majstrów. Ktoś, występując z powodu sprawy o znak pisał: „Cechy w ich obecnej postaci są bukietem zeschłych kwiatów. W jeden tylko sposób mogłyby się one stać narzędziem obrony rzemieślników (tj. kogo? majstrów wielkich? małych czy czeladników?), mianowicie dając im prawną możność utworzenia silnego i dużego związku pracowników uzdolnionych, cechowych i niecechowych, przeciwko partaczom, a może nawet przeciwko kapitałom zagranicznym. Ale wymagałoby to takiej rzutkości, solidarności i praktyczności uczestników, tak głębokich zmian w stosunkach pojedynczych warsztatów oraz ich pracowników, na jakie nie zdobędzie się już chyba przesiąknięte średniowieczczyzną nasze rzemieślnictwo.“ Z wyjątkiem westchnienia bez sensu, mamy tutaj zdanie zupełnie słuszne. Gdyby nie to, że głos ów wyszedł z pod dzwonka elektrycznego, który nigdy nie wydaje sądu na podstawie własnych, a źródłowych studyów, lecz oddzwania jedynie cudze zdania, każąc dzisiaj „idei“ robić większe cuda, niż czynił Buddha podczas swego żywota na ziemi i zrzeszać rzemiosła i drobnych kapitalistów, aby to drogą osięgnąć wyższy ustrój społeczny; jutro zaś skazując je na zagładę pod wpływem żywiołowych potęg życia i tem samem spychając „ideę“ do roli kopciuszka, mielibyśmy tutaj do czynienia z charakterystycznem przyznaniem wśród ludzi, którzy gotowi byli za pomocą rzemiosła zwyciężyć fabryczny sposób produkcyi! Niestety jednak, tutaj jak i zwykle, mamy sprawę z chorągiewką na dachu, która kieruje się podmuchem pierwszego lepszego wiatru a nigdy nie zadając sobie pracy zbadania istoty rzeczy, lecz przyjmując cudze suggestye, przynosi olbrzymią szkodę. Jeżeli upadek cechów dla spożywców jest nader pożądany, gdyż rozbija organizacyę, spiskującą przeciwko taniości produktów i postępowi technicznemu, natomiast nie wolno zapominać. iż w ukryciu cechów drzemie inna dzisiaj nader sterana instytucya, którą warto ocalić. Jest to kasa czeladników. Niepotrzeba głębszych zmian w jej istocie — jedynie uzupełnienia, że może udzielać wsparć nietylko podczas choroby, lecz i przy braku pracy, a nadto oddzielenia jej od majstrowskiej, zwiększenia na miejsce majstrowskiej, kontroli ze strony magistratu i pozwolenia spełniania nadto obowiązków kantoru stręczeń pracy czeladników, a oddać może istotnie wielkie usługi przedstawicielom uczciwej pracy.

Z.

PRZEMYSŁ I HANDEL.

Z rynku.

Ceny bieżące. Warszawa, 10 lutego. Usposobienie targu zbożowego (na Pradze) było słabe. Tylko na żyto, skutkiem skromnych dowozów, był większy popyt. Za wyborowe płacono 134 do 135 kop., za średnie 131 do 133, za pospolite 127 do 130. Grykę kupowano po 110 k. Za jęczmień dwurzędowy na kaszę płacono 95 do 102. Za najlepszą kaszę jaglaną, płacono 148 k., za kukurydzę — 79 do 82.

— W składach tranzytowych przy kolei terespolskiej zostało (w d. 9 b. m.) 846 wagonów wytworów roślinnych.

— Wiadro okowity 100% rs. 10,99 (*netto*); wiadro zaś 78% — 8,75. Dowozy i zapasy na utrapienie wytwórców — duże. Cena wódki Towarzystwa rektyfikacyi — 11,05.

— Gdańsk, 9 lutego. Na pszenicę krajową był popyt mocny, przy „cenach utrzymanych“ — wyrażając się gwarą giełdową. Towar tranzytowy — „bez obrotów.“ Terminy tranzyta: na luty—marzec 177 marek w popycie, na kwiecień—maj płacono 178, na czerwiec 182 w zaofiarowaniu i 181 w popycie. Żyto trzyma się mocno — towar gotowy bez obrotów. W terminach tranzyta na kwiecień—maj płacą 177 m. Względem cukru „dążność“ jest stała. Kurs rubla wyraża się w takim stosunku: 201,15 marek za 100 rubli.

Rynek pieniężny. Berlin, 10 b. m. W gotówce płacono 200,50, na dostawę 200 za 100 r.

— *Wiestnik Finansow* donosi, że wywóz spirytusu z Rosyi w r. 1891 był mniejszy, niż w r. 1890 o 270,668 wiader, czyli o 6,4%. Zniżka ta dotyczy „przeważnie „rektyfikatu,“ którego wywieziono o 137,022 w., czyli o 13,4% — mniej. Wogóle wywieziono w ciągu r. z. 3,949,096 wiader spirytusu i 887,160 w. rektyfikatu. Wzrost wywozu zaznaczył się tylko na dwóch komorach: mławskiej i libawskiej i do pewnego stopnia — w odeskiej. Inne wykazały znaczną zniżkę.

DONIESIENIA URZĘDOWE.

O odpowiedzialności za jawny napad jednej części ludności na drugą. Rada państwa w połączonych departamentach cywilnym, duchownym, praw, oraz w zebraniu ogólnem, rozważywszy wniosek ministra sprawiedliwości w przedmiocie kar za jawny napad jednej części ludności na drugą i zgadzając się z konkluzyą senatora Manaseina, *postanowiła:*

Część pierwszą rozdziału czwartego kodeksu karnego wydania 1885 roku uzupełnić następującym przepisem:

Art. 269. Winny udziału w zbiegowisku publicznem, dopuszczającem się połączonemi siłami gwałtu nad osobą, rabującem lub niszczącem cudzą własność lub wdzierającem się do cudzego mieszkania, albo winny usiłowania tego występku skutkiem pobudek, pochodzących z nienawiści religijnej, plemiennej lub stanowej lub wreszcie z pobudek ekonomicznych — podlegają pozbawieniu wszelkich praw stanu, oraz praw nabytych i zesłaniu na Syberyę na mieszkanie lub oddanie do poprawczych rot aresztanckich wedle 3-go, 4-go lub 5-go stopnia art. 31 niniejszego prawa,

Jeżeli zaś zbiegowisko stawiło opór połączonemi siłami sile zbrojnej, wezwanej dla stłumienia tego oporu, winni udziału w tym występku podlegają pozbawieniu wszelkich praw i zesłaniu do ciężkich robót na lat 6 do 8-u, lub 4 do 6-u.

Organizator zbiegowiska, przewidzianego w części pierwszej niniejszego prawa lub biorący w niem udział i przewódca gwałtu nad osobą, rabunku lub zniszczenia cudzej własności, dalej kierownik zbiegowiska, które wtargnęło do cudzego mieszkania lub usiłowało wtargnąć, wreszcie podmawiający do tych występków — podlega pozbawieniu wszelkich praw stanu, oraz przywilejów i zesłaniu na mieszkanie na Syberyi lub oddaniu do poprawczych rot aresztanckich wedle 1-go lub 2-go stopnia art. 31 niniejszego prawa.

Uczestnikowi zbiegowiska, kierującemu oporem sile zbrojnej, wezwanej do rozpędzenia zbiegowiska, lub podmawiającemu do stawiania w dalszym ciągu oporu — kara wedle uznania sądu może być podwyższona o jeden lub dwa stopnie.

Powyższą uchwałę rady państwa Najjaśniejszy Pan, dnia 9 (21) grudnia 1891 roku raczył Najwyżej zatwierdzić i polecił wykonać.

KRONIKA.

Towarzystwo opieki nad biednemi matkami. Ta instytucya filantropii arystokratyczno-plutokratycznej odbyła dnia 7 lutego swoje posiedzenie, na którem też odczytano sprawozdanie z jej działalności w okresie dwóch lat ostatnich. Z pomocy korzystało 500 matek, w tej liczbie zamożnych 321 i niezamożnych 179. Ogólna cyfra dzieci wynosiła 488, z których było „prawych“ 302, reszta — „nieprawe.“ W większości wypadków dalszą opiekę nad niemowlętami przyjmowały na siebie matki. Dzieci staraniem zakładu na wsi umieszczonych z końcem r. 1889 znajdowało się 124. W r. 1890 oddano na wieś wprost z zakładu 58, z urodzonych po za zakładem 13. Na rok 1891 pozostało 161. W ciągu roku ostatniego oddano na wieś dzieci wprost z zakładu 69, urodzonych po za zakładem 6. Na rok bieżący 1892 pozostało na wsi ogółem dzieci 189, z których 108 chłopców, a 81 dziewczyn. Dzieci pozostających przy matkach, lecz wspieranych przez Towarzystwo, w r.

1890 było 48, w r. 1891 — 42, na r. b. pozostało 17. Co do budżetu Towarzystwa, to w r. 1891 miało ono wraz z remanentem roku poprzedniego dochodu 19,232 rs. Ponieważ rozchód wyniósł 14,477, przeto na r. b. pozostało rs. 4,755. Preliminarz budżetowy na r. b. określa sumę dochodu na rs. 15,650, rozchodu na rs. 15,400. Źródłami wzbogacającymi fundusze Towarzystwa były: „wenta" i bale. Liczyło ono w ciągu roku ubiegłego 457 członków i posiada już dziś dom własny przy ulicy Hożej, który jest na ukończeniu. Z nowych wyborów wyłoniła się na r. 1892 nowa rada opiekuńcza, do której należą: hr. Julia Branicka, hr. Helena Krasińska, Aniela Kucharzewska, Augusta Małachowska, Wanda Wilczyńska, Janowa Brzezińska, Kalikstowa Potkańska, Aleksander Moldenhawer, Lucyan Wrotnowski i Stefan Spiess. Komitet gospodarczy składają: pp. Wanda Wilczyńska, Marya Wrotnowska i doktorowie: W. J. Tyrchowski i W. Horoch.

Nie byliśmy świadkami i nie wiemy, jaki śród „protektorek" panował nastrój, gdy odczytywano sprawozdanie z ich trudów dwuletnich, ale jeżeli zbyt były upojone, to rzeczywistość z tego słodkiego marzenia srodze je zbudzi szeregiem Skublińskich, wyrastających jak hydry wielogłowe, często i uporczywie, tu i owdzie w kraju. Gdy te skromne dziesiątki „aniołków," wydartych zabójczym „garnuszkom" przez Towarzystwo zmierzą ze statystyką śmiertelności śród dzieci i dzieciobójstwa, wyniki jego działań okażą się bardzo drobne.

Sprawy społeczne. Naczelnicy powiatów i wójci gmin otrzymali rozporządzenie, aby wszystkie przepisy w fabrykach i warsztatach z całą ścisłością były wykonane.

— Wszystkie stopnie władz rządowych i miejskich otrzymały polecenie zawiadamiania departamentu kasowego ministeryum skarbu o emerytach, którzy ponownie weszli do służby rządowej, bez względu, czy mają prawo na jednoczesne pobieranie pensyi i emerytury.

— Rada państwa zatwierdziła opracowaną przez ministeryum spraw wewnętrznych taksę wynagrodzenia za spasanie bydłem cudzych łąk i pól.

— Poruszono sprawę opracowania nowej ustawy dla Banku włościańskiego.

— Siemiradzki, jak donoszą *Nowosti*, ofiarował na rzecz głodnych jeden ze swych obrazów, oceniony na rs. 4,500.

— Rada państwa zatwierdziła projekt prawa, zakazującego sprzedawania gruntów włościańskich, tudzież projekt przepisów o kasie pomocy i emerytury dla robotników na kolejach skarbowych.

— Opracowano projekt polepszenia bytu włościan bezrolnych.

— Zarząd warszawskiej kolei konnej co rok w święta wielkanocne rozdaje gratyfikacye służbie tramwajowej w kwocie rs. 10—20. Ze względu, iż w r. b. wydatki na wywózkę śniegu i czyszczenie ulic są bardzo małe, zarząd postanowił udzielić konduktorom i woźnicom gratyfikacyę w podwójnym rozmiarze.

— Posiedzenie zarządu Towarzystwa głuchoniemych w Warszawie wykazało, iż liczy 103 członków, opłacających rocznie składki po rs. 2. Fundusze (z ofiar i składek) wynosiły rs. 6,434 kop. 98.

— Żydzi dla osiągnięcia dokładnych wiadomości o Argentynie, wysyłają z Warszawy na koszt zbiorowy delegatów w pierwszych dniach marca.

— Z Galicyi donoszą, iż głód zagląda już do chat włościańskich w pow. żywieckim. Ze zbiorów zeszłorocznych nie wróciło się tam nawet nasienie. Na zapytanie wydziału krajowego, krakowskie Towarzystwo rolnicze odpowiedziało, iż niebezpieczeństwo głodu skutkiem nieurodzaju żyta i kartofli jest niewątpliwie bardzo groźne w powiatach północnych i podgórskich Galicyi zachodniej, tudzież w okolicach nizkich na Powiślu i nad innemi rzekami. Jako środki zaradcze, Towarzystwo wskazuje roboty publiczne, ulgi podatkowe i zniżenie taryf kolejowych dla przewozu kartofli i kukurydzy, którą już obecnie żywią się włościanie tamtejsi. Drożyzna wzmaga się w całej Galicyi. W pow. borszczowskim i czortkowskim zawiązuje się komitet celem ratowania narażonych na głód nauczycieli ludowych.

Szkoły. *Now. Wr.* donosi, iż przy ministeryum oświaty utworzono specyalną komisyę, która zająć się ma należytem określeniem w szkołach średnich wykładu muzyki i śpiewu. Do komisyi zaproszono, pomiędzy innymi, kompozytora Czajkowskiego.

— *Rusk. żiźń* donosi, iż sprawa otwarcia kursów lekarskich dla kobiet w Petersburgu została ostatecznie postanowiona.

— *Praw. wiest.* zamieszcza rozporządzenie o utworzeniu przy uniwersytecie warszawskim posady buchhaltera z pensyą 750 rs. rocznie.

— *Kuryer warsz.* dowiaduje się, że otwarcie niższej szkoły rolniczej na folwarku Brzozowa, wkrótce nastąpi.

— Nauczyciele szkół ludowych krakowskich wnieśli podanie do władz o podwyższenie pensyi w stosunku 20% dotąd pobieranej płacy.

— Fachową szkołę rękodzielniczą postanowiono założyć w Rzeszowie. Ma ona być połączona z wzorowym warsztatem szewckim.

— W uniwersytecie dorpackim posady nauczycieli etatowych: tańca, pływania, jazdy konnej i fechtunku zniesiono. Natomiast utworzono nowe posady lektorów języków: francuskiego, angielskiego, włoskiego, estońskiego i łotyskiego z pensyą 800 rs. rocznie, oraz posadę nauczyciela gimnastyki z płacą 300 rs. rocznie.

Wystawy. Wystawę elektryczną w Petersburgu otwarto.

— Wystawa strażacka w Petersburgu otwarta będzie 27 maja r. b.

— Wystawa Południowo-afrykańska d-ra Holuba słynnego podróżnika, będzie otwarta w Pradze czeskiej.

Wypadki. Kopalnie Auvelais koło Charleroi zalała woda. Dwadzieścia osób utonęło.

— W New-Yorku spłonął *Hotel royal.* Przeszło 70 osób zginęło. Ranionych 81.

Bibliografia. A. Dygasiński, *Nauka czytania i pisania*, str. 102, Warszawa, Gebethner i Wolff.

— W. Rakowski, *Przewodnik kolejowy*, rok 1892.

— *Rocznik Towarzystwa ogrodniczego* (1891).

— I. St. *Syfilis*, jego istota i środki zapobiegawcze, str. 15, Warszawa, Koliński.

— A. Sempołowski, *Sprawozdanie* stacyi oceny nasion przy Muzeum przemysłu i rolnictwa w Warszawie.

— A. Guillemin, *Siły przyrody* (tłom. R. Nusbaumowej), zeszyty 28 i 29.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою, Варшава 31 Января 1892 г. Redaktor i Wydawca dr. fil. **A. Świętochowski.**